MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 8. WARSZAWA, 14 LUTEGO 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

BURZA NAD AZJĄ

DLA powierzchownych, a przejętych doktrynami pacyfistycznemi obserwatorów ostatnich wydarzeń nad Oceanem Spokojnym, jest wojna chińsko - japońska li tylko przemijającym, a przykrym, bo niezrozumiałym dla nich epizodem, który będzie zlikwidowany przez siły pokojowe świata. W rzeczywistości zaś jak to zapowiedź nietylko wypadków o dziejowem znaczeniu w Azji, lecz także wejścia tej części świata na teren polityki międzynarodowej.

Sprawcami zatargu są Japończycy. Pchają ich na kontynent azjatycki siły demograficzne — szybki przyrost ludności i niezwykła gęstość zaludnienia na wyspach ojczystych. Możność energicznego działania daje im przyswojenie sobie w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu całej techniki życia europejskiego. Ich siła moralna wynika z właściwości duchowych tego narodu i ze struktury jego społecznej. Praca nad przyswojeniem sobie techniki europejskiej, obok dobrych wyników dała także ujemne. Japonja potrafiła zorganizować swe państwo i swą gospodarkę na wzór europejski, zorganizować armję i flotę, wyposażone we wszystkie, najbardziej nowoczesne środki i narzędzia, dostosować się do obyczajów współżycia międzynarodowego; lecz równocześnie wszystkie pierwiastki materjalistycznego poglądu na świat, charakteryzujące współczesny okres w życiu narodów europejskich, znalazły dostęp do Japonji i zaczęły wpływać dezorganizująco na duszę narodu i na jego strukturę społeczną. Kto wie, czy te sfery, które pielęgnują dawne tradycje narodowe i które mogły się obawiać, że grozi rozkład duszy japońskiej, nie uznały obecnego momentu za ostatni, czy może nawet nie spodziewały się oczyszczenia narodu przez wielki wysiłek wojenny i czy dlatego nie przyśpieszyły wojny? Spotykamy często wzmianki o rozdwojeniu w polityce japońskiej, wyrażającem się w przeciwieństwach między kołami wojskowemi a cywilnemi. Wygląda to raczej na przeciwieństwo między starą a nową Japonją. W naszem przekonaniu, postawienie kraju przed wielkiemi zadaniami dziejowemi da przewagę tej właśnie „starej" Japonji, posiadającej tajemnicę wielkości i siły narodów i piastunce odwiecznych cnot tego niezwykłego narodu.

Atak japoński na Chiny, aczkolwiek zakończy się zapewne utratą przez nie ogromnej prowincji i upokorzeniem narodu, będzie — zdaniem naszem — potężnym czynnikiem odrodzenia Chin. Naród chiński trwał przez długie wieki w odrętwieniu, a to naskutek odcięcia go od życia innych narodów, naskutek warunków geograficznych i historycznych, w jakich umieściła go Opatrzność. Zetknięcie się z Ameryką i Europą wywołało ferment wewnętrzny. Przykładem przemian, jakie zaczęły się odbywać w duszy chińskiej, są dzieje życia i dzieła ojca młodych Chin — Sun-Yat-Sena, którego księgi są dziś biblją ruchu nacjonalistycznego, będącego pod kierownictwem Kuomintanu. Ferment ten wszakże odbywał się w łonie czterystomiljonowego narodu powoli, wywołał różne sprzeczne dążenia i ambicje, stał się czynnikiem nieskończonych krwawych walk wewnętrznych. Dzisiejsze Chiny nie są jednolite, nie można ich właściwie uważać za jedno państwo, są krajem, przeobrażającym się wewnętrznie i dającym obraz zupełnego chaosu. Najazd japoński na Mandżurję i zjawienie się okrętów japońskich w portach chińskich będzie — jeśli można sądzić na podstawie analogij historycznych — wstrząsem niesłychanie silnym, a więc czynnikiem obudzenia się w duszy chińskiej tych wszystkich pierwiastków, które są potrzebne dla scementowania narodu i organizacji państwa. Wiemy z doświadczenia, że tylko wśród niebezpieczeństw i walk krwawych powstają narody i organizacje państwowe. Wojna chińsko-japońska przyśpieszy wewnętrzne przeobrażenie w Chinach, będzie początkiem powstawania nowej potęgi na kontynencie azjatyckim. Nie trzeba zaś nawet nadmiernej wyobraźni, by przewidzieć, czem będzie zjawienie się na terenie międzynarodowym państwa, opartego na tak wielkiem terytorjum, liczącego tak wiele ludności, państwa narodu o tak starej, wyrafinowanej kulturze...

Na nas, tak odległych od szalejącej nad Pacyfikiem burzy, robi ona wstrząsające wrażenie.

O wieleż silniej odczuwać ją muszą ludy Azji. Czyż nie będzie ona miała daleko idących następstw w sąsiadujących z Chinami Indochinach francuskich, w Indjach, na wyspach Oceanu Spokojnego, a nawet w Persji, w Turcji, w Arabji?

Wszak wobec wystąpienia Japonji — Ameryka i Europa zachowają się wyczekująco. Wszak jest minimalne prawdopodobieństwo wmieszania się kogokolwiek czynnie do zatargu. A fakt ten musi być uznany przez ludy azjatyckie za dowód słabości Europy i Ameryki i prowadzić do obniżenia *prestige*'u narodów europejskich i Ameryki w oczach Azjatów. Ten zaś fakt mieć musi nieobliczalne wprost następstwa, a to tembardziej, że dążenia do niezależności w Indjach i innych krajach są już bardzo silnie rozwinięte, że walka wyzwoleńcza jest już rozpoczęta...

Wypadki na Dalekim Wschodzie stwarzają wreszcie nowe trudności, lecz zarazem i nowe perspektywy przed Rosją. Tam będzie ona musiała widzieć swą misję dziejową i do tej misji przystosować całą swą politykę, zarówno zewnętrzną, jak wewnętrzną. A proszę sobie wyobrazić obszar Rosji, jej bogactwa i zasoby oraz ilość ludności.

W świetle tego, co powyżej powiedziano, jakże małemi i nierealnemi wydać się muszą te idee, któremi żyje Europa Zachodnia w ciągu lat powojennych, jakże złudnemi i naiwnemi są nadzieje na wieczny pokój między ludami! Jak wygląda wobec rzeczywistości, rysującej się w Azji, konferencja rozbrojeniowa genewska? Jak wygląda ta sarabanda, urządzona przez pacyfistów całego świata przed tąż konferencją?

Idzie burza ze Wschodu, rozpoczyna się tam starcie sił dziejowych, dają o sobie znać żelazne prawa, rządzące życiem ludzkości, obarczonej przekleństwem grzechu pierworodnego. Jeśli narody starej Europy, które dały światu kwiat największej kultury i cywilizacji, nie potrafią praw tych zrozumieć i do nich się przystosować, jeśli będą trwały w złudzeniach, to własnemi rękoma zniszczą to, co zostało stworzone przez szereg pokoleń.

Idzie burza ze Wschodu i nikt dziś nie może zamykać na to oczów i unikać wyprowadzenia z tego faktu wszystkich konsekwencyj. Nikt, a tembardziej Polska, sąsiadująca z państwem, mającem większą część swego terytorjum w Azji i związanem ze sprawami azjatyckiemi najróżniejszemi swemi interesami.

STANISŁAW KOZICKI

LOS JAŚKA Z WÓLKI

WNIESIONY przez Rząd przed kilkunastu dniami do ciał ustawodawczych projekt ustawy o ustroju szkolnym chce — jak zapewnia we wstępie — zdolniejszym i dzielniejszym jednostkom ze wszelkich środowisk (niewiadomo: społecznych czy szkolnych, wydaje się, że w intencji jest: szkolnych) ułatwić osiągnięcie najwyższych szczebli naukowo-zawodowego wykształcenia. Nie będzie więc tak zwanych „ślepych ulic“: każdy typ szkoły będzie tak zbudowany programowo, aby programy umożliwiały przejście ze szkół jednych typów do drugich, oraz ze szkół niższych stopni do wyższych.

Rozpatrując jednak tę sprawę bliżej z punktu widzenia nie czysto szkolnego, programowego, lecz ze stanowiska dwu największych i najważniejszych części społeczeństwa naszego, to jest wsi i miasta, musimy dojść do przekonania, że jednak ta możność nie jest dla wsi i miast jednaka, że dziecko wiejskie potraktowane jest w ustawie gorzej, niż dziecko miejskie, i że skutki takiego postawienia sprawy wycisnąć muszą w najbliższym już dziesiątku lat charakterystyczne, a dla przyszłości narodu źle wróżące piętno na rysunku profilowym tej inteligencji, którąby z tych szkół wyszła. Postaram się rzecz oświetlić bliżej.

Aby sprawę dokładnie móc zrozumieć, trzeba przedstawić, jak projekt wyobraża sobie przyszły ustrój szkół powszechnych. Otóż w programie szkoły powszechnej, według projektu, rozróżnia się trzy szczeble: szczebel pierwszy obejmuje elementarny zakres wykształcenia ogólnego, a realizuje go szkoła powszechna stopnia pierwszego; szczebel drugi jest wraz ze szczeblem pierwszym poszerzeniem i pogłębieniem szczebla pierwszego, a realizuje go wedle projektu szkoła stopnia drugiego; szczebel trzeci ma zadanie przysposobienia młodzieży pod względem społeczno-obywatelskim i gospodarczym, a realizować go ma, wraz z pierwszym i drugim szczeblem programowym, szkoła stopnia trzeciego, i to tak, że szkoła stopnia trzeciego realizuje szczebel pierwszy w pierwszych czterech latach nauki, drugi w piątym i szóstym, a trzeci w siódmym (względnie i ósmym) roku nauki. Jak ma wyglądać realizacja programowa w szkole pierwszego i drugiego stopnia, projekt nie mówi zupełnie.

Jakie będą warunki powstania szkół trzeciego stopnia, projekt ustawy nie wspomina. Jest rzeczą jednak jasną, że stopień organizacyjny szkoły zależeć będzie od liczby dzieci, które do pewnej szkoły z tytułu miejsca zamieszkania należeć będą. Należenie zaś do pewnej szkoły zawisłe być musi od odległości miejsca zamieszkania dziecka od szkoły, nie może więc ta odległość przekraczać pewnej normy (obecnie 3 klm.) Odległość ta, już dzisiaj wielka, zapewne normy obecnej nie przekroczy. Otóż wszystkie dzieci w miastach i małych miasteczkach mają już i będą miały warunki potrzebne do korzystania ze szkoły stopnia trzeciego. Dla nich może być sprawą obojętną, czy wejście do szkoły innego typu, niż powszechna, oprze się na pierwszym, czy drugim, czy trzecim szczeblu programowym, wszystkie bowiem szczeble tej ostatnej mają na miejscu. Inna sprawa z dziećmi wiejskiemi. Doświadczenia, nabyte na podstawie lat ostatnich w Polsce, pozwalają napewno określić, jak w najbliższym okresie czasu może się to przedstawiać. Wysiłek władz szkolnych, aby młodzieży wiejskiej zapewnić uczęszczanie do szkoły najwyższego stopnia, był bardzo wielki. Trudności finansowe, związane z powiększaniem bardzo wydatnem liczby etatów nauczycielskich i wyszukiwaniem lokali dla tych szkół wyższego stopnia, wymagających więc i zwiększonej liczby nauczycieli i lepszego uposażenia w lokale i środki naukowe, usiłowano pokonywać. Dzisiaj trudności te są coraz większe. Jakże jednak przedstawia się efekt pracy władz szkolnych dotychczasowy, w warunkach lepszych, niż obecne? Na podstawie rocznika statystyki Rzeczypospolitej Polskiej z r. 1930 okazuje się, że liczba dzieci miejskich od

roku 1922/3 do r. 1929/30 — o ile chodzi o uczęszczanie do szkół siedmioklasowych, a więc odpowiadających zamierzonym szkołom trzeciego stopnia — wzrosła z 82% na 95%. Tutaj więc wysiłek władz osiągnął cel zamierzony niemal w zupełności. Natomiast z dzieci wiejskich, uczęszczających do szkół siedmioklasowych, potrafiono przy bardzo wielkim wysiłku finansowym osiągnąć średnio dla całego Państwa — tylko 14%! Przeto 86% dzieci wiejskich uczęszcza, mimo wielkiego wysiłku władz, aby im zapewnić szkoły najwyższego stopnia, do szkół stopni niższych. Ten procent wypadnie jeszcze jaskrawiej, gdy się uwzględni zosobna poszczególne dzielnice Polski. Oto np. w województwie poznańskiem i pomorskiem dzieci wiejskich, korzystających ze szkół siedmioklasowych, jest zaledwie w roku 1929/30 — 3,6%, w województwach południowych (krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem) — około 10%. Ponieważ nie należy liczyć na to, aby warunki finansowe Państwa i samorządów zmieniły się w najbliższym czasie tak gruntownie na korzyść, że możnaby sobie pozwolić na zbytek zakładania szkół stopnia trzeciego w takiej liczbie po wsiach, aby wieś znalazła się pod tym względem w warunkach zbliżonych do miast, a raczej należy oczekiwać na czas najbliższy warunków cięższych, przeto wyżej podany odsetek można raczej uważać za optymistyczny, niż za pessymistyczny. Na całym obszarze, zamieszkałym przez ludność rolną, takiej ilości szkół stopnia trzeciego, żeby można mówić o nasyceniu wsi pod tym względem, założyć nie możemy, bo nas na to na razie i na okres najbliższy nie stać. Jeżeli więc ustawa przewiduje, że podwaliną całego szkolnictwa ma być szkoła stopnia trzeciego i że niema innej drogi dostania się do szkół wyższych, np. do szkoły średniej ogólnokształcącej, jak ukończenie szczebla drugiego, to znaczy, że ustrój szkolnictwa opiera się na szkole miejskiej. Dla wsi jest i będzie — niestety — na długi czas szkoła jedno lub dwuklasowa szkołą typową. Czy młodzież, uczęszczająca do tych szkół, ma i musi być w ustroju szkolnym pokrzywdzona, aby zadość uczynić doktrynie jednostronnie pojętej jednolitości szkolnictwa? Wprawdzie ustawa przewiduje, jak powiedzieliśmy, że programy będą tak ułożone, aby umożliwić młodzieży odpowiednio uzdolnionej przejście ze szkół niższych stopni do wyższych, ale to umożliwienie będzie tylko... programowe. Jasiek z Wólki nie znajdzie trudności „programowej" w dostaniu się do szkoły powszechnej trzeciego stopnia, na szczebel drugi tej szkoły. Ale czy tylko na tem polega trudność? Takie ujęcie byłoby zbyt ciasne. Trudność polega na tem, że ten Jasiek z Wólki będzie musiał szukać tej szkoły poza swą wsią. W najbliższem miasteczku. W szkole tego miasteczka już od kilku lat pełno jest dzieci, nie Jaśków z Wólki bynajmniej, lecz innych. Dzieci, jak u nas, również dość jednolitych, ale zupełnie nie Jaśków z Wólki. Czy rządcy tego miasta czy miasteczka, którzy szkołę utrzymują pod względem wydatków rzeczowych, płacą lokal, woźnego, opał, czy zechcą, czy zgodzą się na to, aby Jaśkowie z Wólek zajmowali miejsca ich dzieciom, miejsca, którego, jak wiemy, nie jest za wiele? Ustawa tych warunków, pod jakiemi Jaśkowie będą mogli korzystać ze szkół miejskich, nie określa, trudności z tem związanych nie przewiduje. Ale przypuśćmy na chwilę, że powstanie ustawa, lub że Minister na podstawie rozporządzenia narzuci miastom obowiązek przyjmowania dzieci wiejskich do szkół. Nawet bezpłatnie, o ile chodzi o Jaśków. Jasiek pójdzie do szkoły trzeciego stopnia na dwa lata, aby w niej ukończyć szczebel drugi. Warunki nauczania w tej szkole nie będą takie, na jakie może zezwolić stan funduszów państwowych przy niewielkiej stosunkowo liczbie szkół średnich, ale takie, jakie są — niestety — w szkolnictwie powszechnem. Czy zanosi się tu na zmianę? Czy znajdą się, czy znalazły się środki, aby zaopatrzyć te szkoły w odpowiednie lokale, nauczycieli, pomoce naukowe? Czy nie lepiej i dla Jaśka i dla społeczeństwa, aby tę próbę zdolności Jaśkowych wykonać w zakładzie, w którym tę próbę zdolności Jaśkowych wykonać w zakładzie, w którym próba ta daje pewne widoki możliwie dobrego sprawdzenia tych zdolności? Czy ten nauczyciel, który ma Jaśka wychowywać przez dwa tylko lata, aby go potem znowu oddać w inne ręce, będzie miał możność zajęcia się wychowaniem przybysza? Czy naturalny przywilej dzieci miejskich, przywilej chodzenia do szkoły stopnia trzeciego bez wszelkich utrudnień, przywilej, którego zresztą nie ma podstawy ani potrzeby usuwać, ma być właśnie podstawą ustroju szkolnego dla wszystkich dzieci w Polsce? I dla tych dzieci, które z tego tylko z trudem wielkim korzystać będą mogły? I to w Polsce, w której ludność rolnicza obejmuje dwie trzecie ludności? Wydaje się, że podstawą ustroju szkolnego w Polsce nie może i nie powinno być nic innego, niż to, co uwzględnia najgłębsze, a uzasadnione interesy tej właśnie części ludności. Zrozumiałe jest oczywiście, że uwzględnienie tego interesu nie może iść poza granice możności, w tym przypadku poza pewne konieczne wymagania szkolnictwa. Otóż dotychczas nikt nigdy nie wykazał u nas ani poza Polską, żeby wcześniejsze zaczynanie nauki na stopniu średnim wychodziło na niekorzyść szkolnictwa średniego lub kultury narodowej. Ma tylko jeden błąd: sprzeciwia się doktrynie, powstałej zagranicą wśród zupełnie innych niż u nas warunków, ale i tam w praktyce nie stosowanej. Przecież w Niemczech, tej kolebce *Einheitsschule*, obok szkoły średniej, opartej na pełnej szkole powszechnej najwyższego stopnia istnieją szkoły średnie w wielkiej liczbie, oparte na czterech latach nauki w szkole powszechnej, jako na *Grundschule*.

Skutkiem tego utrudnienia, jakie powstanie, gdyby ustawa miała istotnie w pełni być pod tym względem stosowana w przyszłości, byłoby odchłopienie gimnazjów. Wieś przestałaby być rodzicielką inteligencji chłopskiej, która dziś ma tylu dzielnych przedstawicieli we wszystkich działach pracy. Inteligencja tworzyłaby się głównie z kadr urzędniczo-inteligenckich miejskich, ze sfer robotniczych i handlowo-przemysłowych. Nici, wiążące dzisiaj wieś z inteligencją miejską przy pomocy przedstawicieli wsi, stawać się będą musiały coraz słabsze. Droga oporu dla wsi będzie zbyt uciążliwa.

Pomyślała o Jaśkach ustawa w zakresie szkół zawodowych. Pomyślała pożytecznie dla przyszłości. Szkoły zawodowe stopnia niższego oprzeć się mają na pierwszym szczeblu programowym, tym więc, który najbardziej jest i będzie rozpowszechniony po wsiach. Dano im szkoły zawodowe, niechże mogą stanąć do zapasów dla przyszłości społeczeństwa i w szkole średniej. Ustawa niech im to ułatwi.

Być może, że o tem myślał projekt, przyznając Ministrowi prawo zakładania poszczególnych szkół dla celów doświadczalnych, opartych na innych zasadach organizacyjnych, niż zasady określone w ustawie. Jeżeli tak jest, a zasada czteroletniego

gimnazjum miałaby być utrzymana (tego problemu w tej chwili nie poruszam), należałoby ten artykuł uzupełnić wyraźnie, że Minister, zanim będą w dostatecznej ilości założone szkoły po wsiach stopni wyższych i dostatecznie uposażone, będzie zakładał gimnazja z dwiema klasami wstępnemi dla młodzieży wiejskiej, która nie mogła korzystać ze szkół, posiadających szczebel drugi, względnie, że drugi szczebel szkoły powszechnej będzie mógł być połączony w organiczną całość z gimnazjum. Bez krzywdy dla miasta, ale i bez krzywdy dla ...Jaśków.

MARJAN REITER

PANOPTICUM CYWILIZACJI

PO NIESAMOWITEJ galerji osobliwości oprowadza czytelnika jeden ze znakomitszych pisarzy włoskich XX wieku, Giovanni Papini, w ostatniej książce swojej o tytule apokaliptycznym („Gog". Vallecchi Editore. Firenze. Str. 393), której treść składa się z szeregu scen i obrazów, będących hyperboliczną ekspresją rozmaitych dziwactw i potworności, sadyzmu i szarlatanerji, szałów i zbrodni zwyrodnionego ducha naszych czasów.

Jest to rodzaj pamiętnika niejakiego Goggins'a — stąd „Gog" — który urodził się na wyspach Hawajskich z matki Hawajki i ojca białego, doszedł rozmaitemi drogami do wielkiego majątku, a chciwy niezwykłych wrażeń i pełen skłonności patologicznych — trwonił zdobyte miljony, wędrując po całym globie ziemskim, aż znalazł się we Włoszech w szpitalu dla obłąkanych, gdzie go, odwiedzając kogoś ze swoich znajomych, poznał autor książki. Gog dał mu do przejrzenia swój pamiętnik i wkrótce zginął bez wieści, co upoważniło Papiniego do ogłoszenia niektórych jego ustępów.

O tym Gogu powiada autor w przedmowie: „Niespokojny pół-dzikus rozporządzał bogactwami imperatorów. Potomek ludożerców, pozostając nieokrzesanym, posiadł najstraszliwsze narzędzie tworzenia i niszczenia świata dzisiejszego. W najwyższym stopniu ignorant, chciał być wtajemniczonym w najbardziej wyrafinowane rozkosze kultury w stanie rozkładu. Zwierzęcy z pochodzenia i powołania, pragnął doznać wszelkich form epikureizmu mózgowego naszych czasów".

Wędrując z Gogiem po całym świecie — od Nowego Jorku do Neapolu bądź Pekinu, stąd do Reykjaviku albo Paryża i t. d. — poznajemy nietylko manjactwa cerebralne tego „potomka kanibalów", lecz także rozmaite przedsiębiorstwa cywilizacji współczesnej, które wszelkim ekstrawagancjom zwyrodniałych instynktów oraz ducha ludzkiego starają się zadość czynić. Nadto poznajemy również i tych, co są wykwitem kultury naszych czasów; tych, co budując jej dumny gmach, wnoszą jednocześnie do niego cyniczny kult materji, fałsz i oszustwo, bezduszność i oschłość oraz szarlatanerje intelektualne wszelkiego rodzaju.

Przenosząc się ustawicznie z miejsca na miejsce, celem doznania niezwykłych wrażeń, Gog ma wcale niegłupią myśl odwiedzania rozmaitych znakomitości współczesnych: uczonych, literatów, wynalazców, polityków i t. p., których wyciąga na szczere słówka i wyznania. Tak np. sędziwy Edison mówi mu o bankructwie nauki, ponieważ jednak — dowodził — „ignoranci czują potrzebę łudzenia się, robotnicy potrzebują pracować, a przemysłowcy zarabiać, naszym obowiązkiem jest ratować, o ile się da, korzystne przesądy". Od Einsteina, który mu prawił o jedności wiedzy, dowie się, że cała nauka da się wyrazić formułą: „coś się rusza", co też jest „ostateczną syntezą myśli ludzkiej". Sir James Fraser „największy antropolog świata", udowodni mu, powołując się wciąż na własne dzieła, że „cała nasza cywilizacja pochodzi z wierzeń i praktyk Magji, a pessymista — z niejakim wysiłkiem sofisterji — mógłby utrzymywać, iż kultura współczesna nie przekroczyła jeszcze stadjum magizmu". Wszyscy intelektualiści są—podług Frasera — „czarnoksiężnikami, tylko bardziej rozważnymi i oświeconymi".

„Sprzedawca nowości", H. G. Wells (mówiąc nawiasem niezrównanie scharakteryzowany przez Papiniego), zamaszyście, po reportersku i z nieopisaną pewnością siebie wyłożył Gogowi, czarno na białem, swoje nie wiedzieć już które z rzędu proroctwo, mianowicie, że zanim dojdziemy do „połowy wieku XX-go wybuchnie straszliwa wojna międzykontynentalna", a wcześniej jak za 50 lat, Europę i Amerykę zaludnią neoprymitywi, niepamiętający znikomej cywilizacji z okresu XVII—XX wieku. Pysznym jest również B. Shaw, wściekły, iż go mają za *clown*'a, podczas gdy on, podług siebie samego, jest „najpoważniejszym człowiekiem z całego Królestwa Zjednoczonego", ponieważ jest „jedynym, który nie chce słyszeć nic o tej farsie uciesznej, jaką jest pogrzeb". Ten także uważa postęp wiedzy za „bezwstydną szarlantanerję", dotychczas bowiem nie znalazła środka przeciw śmierci.

Wielki konstruktor samochodów, Ford, upewni Goga, że jedyną jego ambicją—ambicją naukową i humanitarną, jak powiada, jest „fabrykować bez żadnego robotnika, coraz większą ilość przedmiotów, któreby nie kosztowały prawie nic". Te wszystkie, nic nie kosztujące, przedmioty, dałyby się zresztą wymienić (humanitarnie) na Rembrandty i Rafaele i t. p. starego świata, którego przemysł byłby zrujnowany przez produkcję *à la* Ford...

W podobnym sensie, mniej więcej, odzywają się inne znakomitości naszych czasów (Maeterlinck, Gome de la Serna, Hamsun, Lenin, Freud i t.p.); mówią pretensjonalnie i głupkowato o „cierpieniu metali", albo „ludziach-gwiazdach", wypowiadają z najzimniejszą krwią poglądy, od których włosy powstają na głowie, albo, zamknięci w sobie, pragną by im dano spokój i niezaprzątano sprawami ludzkiemi.

Jest tu jedna, bardzo znamienna, rozmowa Goga z Dr. Benrubi, który urodził się w Polsce, studja początkowe odbył w Rydze, doktorat filozofji złożył w Jenie, filologji nowożytnej zaś w Paryżu, wykładał w Barcelonie i Zurychu".

Rozmowa z nim toczy się dokoła pytania: dlaczego żydzi, zwykle tak inteligentni, są tak tchórzliwi? Dr. Benrubi jest zdania, że jeśli chodzi o odwagę fizyczną, bestjalską — może to być prawdą, pod względem wszakże umysłowym — żydzi są nietylko odważni, lecz nawet zuchwali. „Potężniejszą od złota — powiada — jest, podług mnie, inteligencja". W jaki sposób, żyd deptany i oplwany, mógł się zemścić na swoich wrogach? Przez poniżenie,

zbezczeszczenie, zdemaskowanie, rozbicie ideałów „gojów“. Przez zniszczenie wartości, któremi żyje chrześcijaństwo. W istocie, jeżeli przyjrzycie się dobrze, inteligencja żydowska, od wieku po dzień dzisiejszy, nic innego nie czyniła, jak tylko podcinała i poniewierała wasze najdroższe wierzenia, filary, podtrzymujące gmach waszej myśli. Od chwili, w której żydzi posiedli możność swobodnego pisania, wszystkie wasze rusztowania duchowe grożą zawaleniem się“. I tu uczony mąż powołał się na działalność szeregu znakomitych żydów, jak np. Heine, Marx, Lombroso, Nordau, Freud, Weininger, Bergson, Salomon Reinach, Einstein, Meyerson itp. Wszyscy oni rozbijali wniwecz wszelkiego rodzaju idealizmy gojów, niweczyli podstawy ich cywilizacji. „Proszę zauważyć—mówi dalej Dr. Benrubi—że nie powołuję się na imiona nieznane bądź drugorzędne. Europa dzisiejsza jest, w znacznej mierze, pod wpływem, albo, jeśli pan woli, pod urokiem wyżej wspomnianych żydów. Urodzeni wśród różnych narodów, oddani rozmaitym poszukiwaniom, wszyscy owi Niemcy i Francuzi, Włosi i Polacy, poeci i matematycy, antropolodzy i filozofowie, mają wspólny rys i wspólny cel, mianowicie: podawanie w wątpliwość prawd uznanych, poniżenie tego, co stoi wysoko, zbrukanie tego, co wydaje się czystem, zachwianie tem, co trzyma się mocno, ukamienowanie tego, co jest szanowane. To pędzenie („propinacja“) wiekowe trucizn rozkładowych, jest wielką zemstą żydów w stosunku do świata greckiego, łacińskiego i chrześcijańskiego. Żyd łączy w sobie dwie najniebezpieczniejsze ostateczności: jest despotą w dziedzinie materji, anarchistą w królestwie ducha. Jesteście naszymi sługami w dziedzinie ekonomicznej, ofiarami w sferze intelektualnej!!...

Z wędrówek swoich, z poczynionych w czasie ich trwania doświadczeń, w zetknięciu się z błazeństwami i zboczeniami cywilizowanej istoty ludzkiej, wynosi ten Kaliban współczesny przemożną chęć ucieczki od świata i ludzi, gdyż — jak powiada — „niema większej rozkoszy, jak czuć się we wszystkiem i przez wszystko oddzielonym od tej nieznośnej rasy, zbyt do nas podobnych, we wszystkiem być niezależnym od nich i przebywać w schronieniu dobrze zabezpieczonem, gdzie nie mogą nas niepokoić ani obrażać“.

Dławi go odraza do rzesz ludzkich, więc w swoich marzeniach i zachciankach manjackich, roi o radykalnem ich unicestwieniu, niestety,—zdaje sobie sprawę ze swojej niemocy w tej mierze, na to bowiem nie wystarczyłyby nawet jego miljony. W końcu decyduje się Gog jeszcze na jedną próbę, mianowicie: udaje ubogiego, przebiera się za żebraka i włóczy się, obdarty i zgłodniały, po wzgórzach Apeninu toskańskiego. Tu, w zetknięciu się z jego „nieokrzesanymi lecz poczciwymi ludźmi“, doznaje uczuć, jakich nie przeżywał nigdzie, wśród tego bezdusznego świata, gdzie panuje wszechwładnie „egolatrja“. Kromka chleba („*Il pane della bambina*“), ofiarowana mu, z nieśmiałym uśmiechem, przez pasącą krowy dziewczynkę, wydała się mu czemś tak pełnem przedziwnego smaku, tak dobrem i w treść bogatem, że w zdumieniu zapytuje: „Czyżby to był prawdziwy pokarm człowieka? Czyżby to było prawdziwe życie?“... Tem pytaniem kończy się pamiętnik Goga, tak się zamyka ta dziwna książka Papiniego. Kto jednak zna dawniejsze jego dzieła, kto poznał jego życie umysłowe oraz postawę duchową wobec świata i zagadnień cywilizacji naszej, ten się nie będzie dziwić tym dziwactwom ponurym, tym szałom i zachciankom sadystycznym — na wzór Kaliguli — jakim oddaje się Gog.

To wszystko, częściowo, wyjaśnia nam autor w przedmowie swej ostatniej książki.

„Bardzo liczni w naszych czasach—mówi tam—podobni są do Goga. Ale Gog, podług mnie, jest przykładem szczególnie pouczającym i rewelacyjnym, a to z dwojakiego względu. Naprzód dlatego, że jego bogactwo pozwoliło mu na robienie wielu ekstrawagancyj idjotycznych i zbrodniczych, podczas gdy jemu podobni muszą się zadowalać tylko marzeniem o tem wszystkiem. Następnie, że jego szczerość pierwotnego człowieka czyni go skłonnym do bezwstydnego wyznawania własnych, najbardziej odrażających zachcianek, tymczasem gdy inni kryją się z niemi, i nie mają odwagi przyznać się do nich przed sobą samymi. Gog jest—jednem słowem—potworem i dlatego odbija w postaci przesadnej pewne dążności tegoczesne“.

Autorowi, jak wyznaje, dogadza ta przesada, gdyż w tem powiększeniu groteskowem, uwydatniają się lepiej choroby ukryte (duchowe), na jakie cierpi cywilizacja dzisiejsza.

Pragnienia i zachcianki Goga, zostały pomyślane — i nieraz wyolbrzymione na miarę Rabelais'ego, czy Swifta — przez Papini'ego dla jaskrawego uzmysłowienia gruboskórnego epikureizmu oraz bezdusznego intelektualizmu cywilizacji naszych czasów. Potworna mieszanina brutalnych żądz i myśli pierwszego, a zboczeń i wyrafinowań drugiego, jest jednem z charakterystycznych jej znamion.

Że z ducha potwornego rodzą się dążności i czyny potworne — jest to rzeczą naturalną; czem się jednak tłumaczy zjawisko, że z ducha, będącego wynikiem najprzedniejszej kultury ludzkiej, powstają myśli i czyny—ohydne, idjotyczne bądź kryminalne, na jakie nie zdobyłaby się pierwotna natura ludzka? To są paradoksy obecnego stanu cywilizacji naszej — i ku nim zwraca się krytyczna świadomość, szyderska i ironiczna myśl pisarza, który od trzydziestu lat zgórą demaskuje brutalne zmaterjalizowanie, fałsz, faryzeuszostwo, snobizm i czczość intelektualną kultury naszych czasów. Mogą mu zarzucać przesadę krytyczną i bezwzględność wyobraźni, zniekształcającą do rozmiarów karykaturalnych symbole dążności naszych czasów. Być to może, niekiedy jednak nawet tak nieubłagana wyobraźnia, jak Papini'ego, nie wyczerpuje całej nieprawdopodobnej treści konkretnej rzeczywistości. Weźmy choćby taki przykład: Że tam jakiś sadysta może roić o masowem wymordowywaniu bliźnich, bądź o zamknięciu ich wszystkich w więzieniu—nic w tem niema dziwnego; jeśli jednak Romain Rolland, dusza, tchnąca miłością dla całej ludzkości, nazywa Lenina „największym człowiekiem czynu w naszem stuleciu, a zarazem największym altruistą“, jeżeli inny humanitarysta, modny myśliciel angielski, Bertrand Russell, powiada, że „nasz wiek wejdzie w historję światową jako wiek Lenina i Einsteina, dwóch ludzi, którym udało się dokonać olbrzymiej, syntetycznej pracy“, jeśli wreszcie B. Shaw oświadcza, że przyjdzie kiedyś dzień, w którym w Londynie wystawią pomnik Lenina obok pomnika Waszyngtona [1]) — to albo ci znakomici ludzie są niepoczytalnymi manjakami, albo, co gorsza, kpią sobie ze wszystkiego i wszystkich

[1] P. R. Fueloep-Miller „Lenin i Gandhi“ (str. 314).

i, oddając się igraszkom intelektualnym, jako *sui generis* epikurejczycy, uwodzą kryminalnie naiwne rzesze ludzkie. A przecież podobne igraszki, złośliwe, bądź idjotyczne, dokonywają się w różnych dziedzinach życia współczesnego, na rozmaitych polach działalności ludzkiej (w sztuce, literaturze, polityce etc.), i składają się one na wymowne i przerażające panopticum cywilizacji naszych czasów.

Z tej maszkary potwornej, z arlekinady dusz zwyrodnionych i mózgów epikurejskich, szydzi niemiłosiernie nie od dzisiaj Papini i piętnuje obłudne, pretensjonalne, szarlatańskie oblicze świata dzisiejszego. Robi to z mniejszym ogniem, niż za lat młodych — za czasów, gdy pisał być może najwymowniejszą książkę swoją, najbardziej przeżytą, swego „Człowieka Skończonego“ („*Un Uomo finito*“) i t. p. — sądzi i wyrokuje o czasach i ludziach z zimniejszą krwią, a raczej w większem skupieniu ducha, zawsze jednak z tą samą ostrą świadomością zła, które należy zniszczyć, z tą samą żądzą bezwzględnego przeciwstawienia się mu. „Zawsze pozostaję tym—powiada o sobie w „*Un Uomo finito*“ p. str. 282 — który nie przyjmuje świata... Nie chcę przyjąć go takim, jakim jest, i dlatego usiłuję go przerobić fantazją swoją, albo zmienić przez zniszczenie“.

Dzisiaj, po wielu wzlotach i upadkach ducha, po dojrzałej jego przeróbce, Papini jest zawsze tym, który nie przyjmuje świata takim, jakim jest, tylko już dziś w dążeniu do jego odmiany, mniej posiłkuje się fantazją, licząc więcej na działanie tych prawd, które wytrzymały próbę wieków.

Ta „kromka chleba“, współczującej z niedolą człowieka, prostej istoty ludzkiej, która była dla Goga objawieniem uczuć i wartości, z jakiemi nie spotkał się w świecie, wyzutym z prawdy, moralnie i myślowo zniepprawionym, jest symbolem tego zdrowego, niezatrutego pokarmu, jakiego pożądała nieraz utęskniona dusza burzyciela fałszywych bożyszcz cywilizacji naszej, bojownika—jakim był zawsze Papini — o tę żywą prawdę, która odnawia ducha ludzkiego, i daje mu poczucie rzeczy niezwykłych, tajemniczych, pięknych i absolutnych, wśród powszedniości i względności bytu.

Tęsknota do tego źródła ożywczego przewija się już w pierwszych utworach Papini'ego; w „*Un Uomo finito*“ np. (zwłaszcza w znamiennym rozdziale: „*Ritorno alla terra*“: „Powrót do ziemi“); nawet w świetnych szkicach literackich i filozoficznych („*24 Cervelli*“, „*Crepuscolo dei Filosofi*“ i t. p.); wybucha namiętnie w głośnej „Historji Chrystusa“ („*Storia di Cristo*“); wreszcie ujawnia się w ostatnim, w formie negatywnej i pozytywnej zarazem.

Wszędzie chodzi o jedno i to samo, zawsze wobec obmierzłości i uwsteczniania istoty ludzkiej, objawiających się w kształtach kultury indywidualnej i zbiorowej — wzrok jego zatrzymuje się na wyrocznych symbolach bytu, których miano: Bóg, prosty człowiek i ziemia!.. (Podług genjalnego sformułowania Bolesława Prusa).

Słowem: najwyższa prawda bytu, prosty i szczery stosunek do życia i do siebie samego (być może nieraz grzeszny w swojej bezpośredniości, ale pochodzący z przekonania i gorącej wiary)—w końcu miłosne zlanie się z tem, w czem kryją się niewyczerpane moce i wartości znikomej jednostki ludzkiej.

W tej syntezie wyczuwa Papini najgłębszy sens i najmniej złudną pewność istnienia ludzkiego. Być może dlatego, nawet „potomkowi kanibalów“ kazał wzruszyć się błyskiem tego rodzaju wartości w mrokach świata dzisiejszego.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

OD RISORGIMENTA DO FASZYZMU

(Dokończenie)

HISTORYCY *risorgimenta* naogół zgodni są między sobą co do beznadziejnego stanu duchowego, moralnego i niezdolności do czynu społeczeństwa włoskiego z końcem XVIII w. A jednak, w świecie intelektualnym włoskim ,jak zaznaczyliśmy, nie brakło nawoływań i zachęty. W tych warunkach nastąpił najazd rewolucji francuskiej na Włochy. Na lep nowych haseł wolności i równości poszła garstka wolnomyślicieli, oddawna wzdychająca do Francji i do Paryża, i ta pociągnęła za sobą trochę młodzieży. Pośród mieszczaństwa, zwłaszcza drobnego, rewolucja obudziła też pewne nadzieje, ale nikt nie myślał o obalaniu istniejącego porządku. Stało się to dopiero z nakazu inwazji francuskiej. Chłop zaś wszędzie obrócił się przeciwko rewolucji, i to czynnie, podnosząc na tyłach wojsk najezdniczych i okupacyjnych francusko-polskich powstania i bunty w obronie dotychczasowego porządku politycznego. Doświadczyły tego na sobie w Państwie kościelnem i w królestwie neapolitańskiem legjony polskie z Dąbrowskim i Kniaziewiczem na czele.

I tu należy sobie zdać sprawę ze starcia po raz pierwszy francuskiej ideologji rewolucyjnej z tworzącą się, a nie skrystalizowaną jeszcze ideologją narodową włoską. Tradycja narodowa bowiem, jak widzieliśmy, miała we Włoszech przez cały wiek XVIII przeważnie charakter literacki. Vico ją utrwalił, Vincenzo Cuoco zastosował w praktyce, stwierdzając, że losy Italji nie mogą opierać się o zasady rewolucji, ale o wzmocnienie sumienia narodowego.

Społeczeństwu włoskiemu jako całości brakło jednakże doświadczenia życia publicznego np. w porównaniu z Anglją. Stąd niemożność odróżniania tego, co w prądzie rewolucyjnym było odnawiającego a więc pożytecznego, a co mogło przytłumić sumienie i budzącą się świadomość narodową włoską. W pierwszym okresie rewolucji, Italja nowa, bo ta tylko może tu wchodzić w rachubę, ulega i poddaje się niemal bez zastrzeżeń ideom, płynącym z Francji. Tylko wyjątki pośród niej zaczynają się buntować i uświadamiać sobie niebezpieczeństwo idej francuskich ze stanowiska narodowego. Do tych np. należy, oprócz pomienionego Cuoca, poeta Ugo Foscolo, w którego duszy i twórczości najwyraźniej występuje walka między upragnionemi ideałami humanitarno rewolucyjnemi a narodowemi na korzyść tych ostatnich. Rychło bierze w nim górę nacjonalista nad rewolucjonistą. Ale co mógł odróżniać poeta i intelektualista, tego nie były w stanie i nie chciały odróżniać masy miejskie, które na gwałty i bezwzględność francuskich oswobodzicieli-najeźdźców patrzyły przez palce

wobec cennych dóbr wolności, równouprawnienia i udziału w suwerenności, jakie ci najeźdźcy im przynosili. Bo przymusowe przymierze Rzplitej cisalpijskiej z Francją rewolucyjną miało bądź co bądź charakter zamaskowanego panowania [1]). Bolało to patrjotów włoskich, ale tembardziej dodawało im ostrogi do skupienia swych usiłowań ku tworzeniu niepodległej ojczyzny włoskiej i państwa zjednoczonego. Tylko za cenę wprowadzenia u siebie obcych haseł i rewolucji, za cenę tego bodźca idea narodowa włoska mogła zatrjumfować w umysłach. Rezultatem bodaj najdonioślejszym inwazji francuskiej i reakcji, którą ona wywołała, było przejście od kosmopolityzmu do nacjonalizmu.

„Na pytanie, czy Italja byłaby w stanie rozpocząć swoje odrodzenie bez impulsu francuskiego, musimy odpowiedzieć przecząco“—stwierdza jeden z badaczy tej epoki [2]). Zasługa więc rewolucji francuskiej i późniejszego okresu napoleońskiego w przebudzeniu się Italji do życia narodowego, nie ulega wątpliwości. Bonaparte naprawdę rzucił Italję w nurt dziejów.

Na tle tego początkowego konfliktu idei humanitarno-rewolucyjnych i niepodległościowo-narodowych w umysłach ówczesnych Włochów rodzi się cały późniejszy, pełen kontrastów i oscylacyj proces stosunków włosko-francuskich. Interesującem jest śledzić jego rozwój w literaturze okresu romantycznego [3]), dalej poprzez węzłowe lata 1848—1849, w dobie drugiego cesarstwa za Napoleona III (1856, 1866, 1870), aż po wybuch wielkiej wojny, a wreszcie poprzez traktat wersalski do dzisiejszej doby, która w życiu politycznem, społecznem i umysłowem Italji faszystowskiej stanowi gwałtowną reakcję przeciwko tamtym ideom humanitarno-rewolucyjnym 1789 r. i nawrót do tradycyj Macchiavella, Guicciardiniego, Vica, Muratoriego, Cuoca, Foscola i in.

Fakt pomocy udzielonej przez Francję Włochom z zamiarem nie tyle italofilskim — jak podkreślają Włosi—ile dla usunięcia konkurencyjnych wpływów austrjackich z półwyspu, bez której to pomocy atoli Italja w pierwszej połowie *risorgimenta* nie mogła się obejść, wzbudził u Francuzów w stosunku do Włochów mentalność opiekuna i mentora, a naodwrót u Włochów, w stosunku do Francuzów, psychozę drażliwości i animozyj, które w następstwie nieustannie znajdują odbicie w literaturze, w opinji publicznej, w prasie i w polityce obu narodów. Po bitwie pod Mentaną i po r. 1870 wpływ francuski we Włoszech torował sobie drogę głównie przez masonerję, która, wprowadzona w XVIII w. do Włoch przez Anglików i przez Niemców, już na przełomie XVIII i XIX w., a tem bardziej po r. 1870, miała tu charakter przeważnie francuski. Stąd z jednej strony gwałtowne starcie dzisiejszego faszyzmu z masonerją, jako tworem i naroślą obcą, oraz z drugiej nieprzejednany stosunek masonerji zagranicznej do faszyzmu.

Zdaniem Volpego, jednego z najwybitniejszych historyków współczesnych, proces duchowego zjednoczenia trwał od kilku wieków i zwolna tworzyła się świadomość narodu włoskiego jako jedności duchowej. Dokonywało się to równocześnie z moralnem kruszeniem małych państewek o początkach feudalnych, komunalnych czy teokratycznych [4]).

Bardzo stanowczo i słusznie przeciw dawnej teorji filologicznej, która dzieje zjednoczenia Italji skłonna była nawiązywać do założenia Rzymu czy nawet Etrusków i jedność geograficzną zastępować jednością historyczną, występuje Croce. Ale Croce w tem swojem twierdzeniu posuwa się za daleko. Zdaniem jego „naród to jest państwo, albo wysiłek utworzenia państwa“ i dlatego historja polityczna Włoch nie tylko nie istniała w odległych czasach starożytnych „kiedy państwo było Rzymem a nie Italją“, ale nie istniała i potem, gdy państwami były: Florencja, Wenecja, Królestwo Neapolu, Księstwo Sabaudji i t. p. i że „zaczyna się ona o wiele później, jako czcza aspiracja, jako tendencja i wola, a dopiero w r. 1860 jako konkretna rzeczywistość“ [5]).

Na początku XIX w. proces ten staje się coraz więcej świadomy. Czynna wola narodu wkracza i nadaje mu szybszy rytm. Nie jest to już inicjatywa francuska czy jakakolwiek inna, ale włoska [6]). Na widowni pojawia się nowa burżuazja, która wytworzyła się w okresie rewolucji i miała do obrony własne interesy, z nią łączą się dawni żołnierze z wojen napoleońskich, którzy byli liczni i mieli świetne tradycje, a także ci wszyscy, którzy w pomienionym okresie zajmowali jakiekolwiek stanowiska publiczne i urzędy, nakoniec byli rewolucjoniści i ich potomkowie, ci ostatni zwłaszcza wyzwoleni, z abstrakcyjnej ideologji uniwersalistycznej rewolucji, uświadomiali sobie lepiej bliższy cel narodowy. Grupy te zbliżyły się do siebie na gruncie towarzystw tajnych, które wszędzie w Europie ówczesnej powstawały, jako związki międzynarodowe ludów przeciwko św. Przymierzu monarchów. We Włoszech największy wpływ z pośród towarzystw tajnych uzyskało t. zw. Węglarstwo *(Carboneria)*. Stąd wyszedł impuls do ruchów wolnościowych i rewolucyjnych 1820 i 1821 r., nie dość wszakże skoordynowany i chaotyczny. Pierwszy wybuch, lepiej zorganizowany, nastąpił, jak wiadomo, w r. 1831 (równocześnie z powstaniem listopadowem) w Państwie kościelnem, w Bolonji. Stąd więcej niż chłód Stolicy Apostolskiej wobec ruchu polskiego, która, mając do czynienia z rewolucją u siebie w domu, nie mogła aprobować ruchu polskiego, o którym zresztą miała bardzo jednostronne informacje.

Charakterystyczną cechą okresu 1831 — 1849, który przygotował *risorgimento*, jego słabością i zarazem siłą była różnorodność myśli i programów. Pośród działaczy góruje tu przedewszystkiem postać Mazziniego, wielkiego idealisty, wielkiego agitatora i proroka wolności i zjednoczenia, który najgłębiej przeorał ugory sumień włoskich i z odrodzenia Italji zrobił kult i religję, a swego programu nie zasklepiał do „Młodej Italji“, ale pojmował go i wcielał jako część programu „Młodej Europy“, zyskując miłość, podziw i wpływ we wszystkich narodach. Wystarczy przypomnieć wpływ Mazziniego na naszą emigrację po r. 1831. Mazzini, rówieśnik i wielbiciel Mickiewicza, był podobnie, jak nasz wieszcz, wychowawcą nowoczesnych Włoch, położył największe zasługi około przebudzenia świadomości narodowej w masach i w swej działalności i w pis-

---

[1]) F. Momigliano: *Gli albori dell'idea unitaria e il crepuscolo dell'idea federale*, *„Rassegna Contemporanea“*, *Roma, luglio* 1911.

[2]) F. Momigliano l. c.

[3]) Por. M. Brahmer: Włochy w literaturze franc. okresu romant. Kraków, Ak. Um., 1930.

[4]) G. Volpe: *L'Italia in cammino*, *Milano*, 1928, p. 1 n.

[5]) B. Croce: *Le condizioni presenti della storiografia, in Italia*, *„Critica“*, 1929, p. 256.

[6]) G. Volpe l. c.

mach jest przedstawicielem nawrotu do tradycyj narodowych i ufności we własne siły.

Obok Mazziniego występuje Gioberti (zbliżony zrazu do niego, potem jego przeciwnik) z programem pojednania różnych sił narodowych z Papieżem na czele i w dziele swem „*Primato civile degli Italiani*“ dodaje ostrogi uśpionemu genjuszowi włoskiemu do nowych wzlotów. A równocześnie pojawia się cały szereg wybitnych pisarzy i ludzi czynu, jak wolnościowiec i federalista a zarazem zwolennik oparcia o Francję Józef Ferrari, jak pozytywista Karol Cattaneo, którzy stają w opozycji do Mazziniego-niepodległościowca, i kontynuując tradycję francuskiego humanitaryzmu rewolucyjnego, głoszą republikański federalizm.

Wszystkie te kierunki o różnych programach, zwolennicy Mazziniego, Garibaldiego czy Giobertiego, unitarzyści czy federaliści, jedni z wewnętrznego popędu i przemyślenia, inni pod wpływem wypadków, przyszli z czasem do przekonania, że ich programy maksymalne muszą być poświęcone dla jednego wspólnego celu, jakim było zjednoczenie, i pogodzić się na gruncie skupienia się około dynastji sabaudzkiej. Oddziałał w tym kierunku bez wątpienia niepomyślny obrót rewolucji 1848 r., powrót rządów reakcyjnych i utwierdzenie się Austrji w Medjolanie i w Wenecji po klęsce Włochów pod Nowarą 1849 r. Uświadomienie sobie niebezpieczeństwa austrjackiego i potrzeby zwycięstwa nad nią za wszelką cenę sprowadziło zjednoczenie moralne Włochów. Myśl zjednoczenia ojczyzny, mimo liczne późniejsze odchylenia, wzięła wkońcu górę. Szczęściem dla Italji było, że obok dynastji sabaudzkiej i Wiktora Emanuela II znalazł się wielki mąż stanu, który z niesłychaną zręcznością i poświęceniem dla sprawy, umiał ująć nici całej polityki i wyzyskać zarówno siły rewolucyjne jak i wyjątkowo szczęśliwe okazje dyplomatyczne. Lata 1850—1859, to jeden olbrzymi wysiłek wszystkich pomienionych czynników ku zjednoczeniu. Udział małego Piemontu w wojnie krymskiej zapewnił Cavourowi głos na kongresie paryskim 1856 r. Podobnie, jak wojnę krymską, wyzyskał Cavour fakt, że Napoleon III za wszelką cenę dążył do obalenia hegemonji Austrji, która od kongresu wiedeńskiego ciążyła nad Europą. Wojna z Austrją, którą ona pierwsza pośpieszyła wypowiedzieć, zakończyła się, jak wiadomo, pomyślnie dla koalicji piemonckiej i dała królestwu Sardynji, mocą pokoju w Zurychu (10.XI 1859), Lombardję, na mocy zaś plebiscytów z marca 1860 r. także Emilję, Romanję i Toskanję. Niebawem podniosła się i Sycylja, gdzie w maju 1860 r. wtargnął Garibaldi na czele Tysiąca śmiałków i w przeciągu kilku miesięcy poniósł zarzewie do Kalabrji i Neapolu W lutym 1861 r. zebrał się w Turynie pierwszy parlament włoski, który 17 marca tegoż roku ogłosił królestwo Italji z dynastją sabaudzką na czele.

Rzym MACIEJ LORET

PONIATOWSKA

WANDZIE MIŁASZEWSKIEJ

Nad umywalnią jednego z moich przyjaciół wisi kolorowany stary drzeworyt, który, ilekroć na niego spojrzę, wprawia mnie w rozmarzenie. Podpis opiewa: *La princesse Poniatowsky apprend la mort de son mari.*

NIE wiadomo nikomu,
ani jak ona z domu,
ani nawet jak miała na imię.
Nigdzie nikt nie wymienia
daty jej urodzenia,
więc upomnij się o to mój rymie.
Bo na starej rycinie
piękna polka w muślinie
haftowanym i w lila atłasie,
z tak ponętną figurą,
że drętwieje mi pióro,
gdy ją w całej opisać chcę krasie,
dosyć ciemna blondynka,
— czy też jasna szatynka —
uperlona, ubrylantowana,
jakieś pismo odbiera
z mężnych rąk szwoleżera
czy innego polskiego ułana.
Dowód więc oczywisty,
że istniała. Któż listy
słałby do niej w przeciwnym wypadku?
Jakaż tedy przyczyna,
że jej nikt nie wspomina?
O tem powiem na samym ostatku.
Fałszowana nauka
myśląc, że nas oszuka,
w żadnem o niej nie pisze nic dziele,
choć o lada falbance,
— dajmy na to Vaubance —
anegdotek czytaliśmy wiele.
Lecz na starym obrazku
ułan z kitą u kasku
czyli — mówiąc stylowo — przy czaku,
z twarzą taką ponurą,
że drętwieje mi pióro,
z lewą dłonią na czarnym temblaku,
w pantalonach czerwonych,
za szeroko skrojonych,
na niebieskim jak farbka dywanie,
wręcza jej (z czego ona
nie jest zadowolona)
uroczyście t. zw. pisanie.
Dowód więc oczywisty,
że istniała. Któż listy
słałby do niej w przeciwnym wypadku?
Jakaż tedy przyczyna,
że jej nikt nie wspomina?
O tem powiem na samym ostatku.
Nim się tego dowiecie
rzućcie okiem na dziecię
b. grzeczne i ciche, jak rzadko.
Mimowoli zrobicie
historyczne odkrycie,
że szczęśliwą musiała być matką.
Wychowawcze metody
stosowała do mody,
więc ożywiał je duch narodowy.
Niańki w sukniach bogatych
polskich czapek rogatych
nawet w domu nie śmiały zdjąć z głowy.
W głębi widać podwórze,
gdzie ordynans w mundurze
takim samym akurat j. w.,
z miną jak na pogrzebie
trzyma siwka, co grzebie
wdzięcznie nóżką, choć uchem nie strzyże.
Dowód więc oczywisty,
że istniała. Któż listy
słałby do niej i t. d., i t. d.
Jakaż tedy przyczyna,
że jej nikt nie wspomina,
nie opiewa, nie sławi, nie chwali,
chociaż była postaci historycznej żoną?
Widocznie się naraziła farmazonom.

STEFAN GODLEWSKI

NA WIDOWNI

Niezwykły rekord wydawniczy. — Jego przyczyny. — Zainteresowanie społeczeństwa sprawami ważnemi, które dla sfer oficjalnych nie istnieją. — Skutki tego faktu w przyszłości.

W WITRYNACH księgarń, na widocznych miejscach, wszędzie spostrzedz można teraz dość gruby tom, w ciemnobronzowej okładce: Romana Dmowskiego „Świat powojenny i Polska“, w y d a n i e t r z e c i e.

Warto zastanowić się nad znaczeniem tego wydawniczego rekordu. Zbiór rozpraw politycznych, niejednokrotnie traktujących o rzeczach dalekich w przestrzeni i czasie, książka kosztowna raczej (10 zł.), ukazuje się w ciągu zaledwie półrocza w trzeciem wydaniu, i to w momencie, kiedy w handlu księgarskim panuje beznadziejny zastój, gdy o powieści sensacyjnej mówi się, że zdobyła sukces, jeśli rozeszła się w tysiącu egzemplarzy, gdy przeciętny obywatel oszczędności, wywołane „ciężkiemi czasami“, rozpoczyna z reguły od zredukowania wydatków, przeznaczonych na czasopisma i na zakup nowych dzieł do bibljoteki...

Nie wystarczy na wytłumaczenie tego powodzenia samo nazwisko autora i jego sława: przecież nawet „Polityka polska“ nie była tak rozchwytywana, aczkolwiek w dorobku pisarskim Dmowskiego stanowi niewątpliwie pozycję nie mniejszą. By wyjaśnić tajemnicę, niezbędne jest sumienniejsze wniknięcie w zagadnienie, w jaki sposób przedstawia się stan psychiczny społeczeństwa polskiego w dobie obecnej i jak dalece „Świat powojenny“ odpowiedział wypływającej z tego stanu potrzebie chwili.

Społeczeństwo polskie odczuwa dziś, może nie zawsze całkiem wyraźnie i świadomie, że w świecie naszej cywilizacji nadszedł okres olbrzymich przemian i przewrotów, że położenie narodów poszczególnych i wzajemny stosunek ich sił zmieniają się z szybkością coraz zawrotniejszą, że wali się w gruzy wiele „ustalonych poglądów“, a sposoby myślenia i działania, doniedawna uznawane bez zastrzeżeń, coraz częściej okazują się nieprzydatne i przestarzałe. Instynktownie zdaje sobie ono sprawę, że konieczny jest wielki wysiłek myśli, energicznej i wolnej od szablonów, by zorjentować się wczas w dokonywających się i przygotowujących się przeobrażeniach i na tej podstawie wykreślić wytyczne rozwoju historycznego Polski, jej form bytu i jej zadań dziejowych, w nowych, zmienionych warunkach. I z coraz większym niesmakiem i politowaniem spogląda też ono na ludzi, którzy w tej epoce przełomu nie widzą spraw bardziej interesujących i poważniejszych poza wbijaniem w głowy oficjalnie „poprawionej“ historji lat ostatnich i lubowaniem się w szerzeniu oficjalnego kultu „Tego Męża, Który...“

Społeczeństwo polskie orjentuje się już dobrze, że w działalności sfer urzędowych daremnie szukać jakiejkolwiek idei płodnej, jakiejkolwiek podniety myślowej czy to dla zwolenników obecnego systemu, czy dla jego przeciwników z partyj opozycyjnych. Świeżo właśnie obserwować można dwa przykłady twórczości „sanacyjnej“ w organizowaniu życia państwowego. Jednym jest projekt ustawy o ustroju samorządu terytorjalnego, gdzie wyłączną troską wydaje się jaknajdokładniejsze uzależnienie władz samorządowych od dowolnych decyzyj Ministra Spraw Wewnętrznych i podległych mu urzędów administracyjnych. Drugim jest projekt ustawy o ustroju szkolnym, której zasada naczelna najdobitniej chyba uwydatnia się w wyrażeniach: „Minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego ustala“..., „Minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego może“..., „Minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego określa“..., które to zwroty, na paru zaledwie stronicach, w krótkim, 59 artykułów zawierającym projekcie ustawy, powtarzają się aż... 39 razy... Zechciejmyż, z największym zasobem dobrej woli, określić, jaka myśl przewodnia urzeczywistnia się w całej państwowej działalności „sanacji“, jaki drogowskaz usiłuje ona wznieść przed narodem w dzisiejszym, zwrotnym punkcie jego historji. Ideał „silnej władzy wykonawczej“? Ależ to tylko kwestja metody, nie kierunku. To tak, jakby człowiekowi, zbłąkanemu na skrzyżowaniu dróg, na pytanie, który gościniec doprowadzi do celu jego podróży, odpowiedzieć: „przy wymijaniu należy trzymać się prawej strony jezdni“... „Mnie obchodzi: dokąd iść?“ — odburknie podróżny — „tegom ciekaw, nie przepisów policyjnych“...

Nie dziw przeto, że w tem położeniu opinja publiczna z coraz większą obojętnością odnosi się zarówno do oficjalnej chwalby poczynań obozu rządzącego, propagowanej przez agencje urzędowe, prasę subsydjowaną, radjo, kino, jak i do krytyki tychże poczynań na łamach dzienników opozycyjnych, na wiecach i na zebraniach opozycyjnych stronnictw. Polityka—ta, którą częstują nas oficjalnie w życiu codziennem — coraz dalsza jest od rzeczywistych trosk ogółu, coraz mniej społeczeństwo interesuje. O tem trzeba pamiętać, ażeby zrozumieć, jakie znaczenie ogromne musi mieć dla Polaka dzisiejszego dzieło polityczne, mówiące mu nie o sposobach utrzymania się tej czy innej grupy przy władzy, nie zaprzątające go tą czy inną osobistą „legendą“, ale skierowujące myśl jego ku rzeczom naprawdę najważniejszym, uczące go rozumieć ogrom dramatu dziejowego, który się przed nim odbywa, a w którym Polska, dziś poniżona i zbiedzona, jeżeli będzie umieć poruszać się w nowych warunkach na scenie świata, może odegrać rolę pierwszorzędną, wspaniałą.

Końcowy rozdział „Swiata powojennego“ poświęcony jest „kwestji żydowskiej“. Jest to właśnie najbardziej klasyczny przykład sprawy, w której Polak współczesny, z obozem, będącym obecnie w Państwie u władzy, wogóle dogadać się nie potrafi. Oficjalnie, dla sfer rządzących Polską, kwestja żydowska wcale nie istnieje: posiadamy poprostu trzy miljony „państwowców“, porozumiewających się żargonem, związanych wspólną organizacją polityczną ze swymi współwyznawcami zagranicą, których religja i tradycyjne pojęcia i dążenia oparte są na odmiennych, częstokroć przeciwnych zupełnie zasadach etycznych, niż u reszty ludności kraju. Stanowisko prawne tych „państwowców“ w Polsce dzisiejszej, rola ich w jej życiu gospodarczem i kulturalnem, nie budzą w grupie, kierującej polityką państwową, najmniejszej troski, najmniejszego dążenia do reformy.

A równocześnie w społeczeństwie polskiem wzrasta ciągle i krzepnie świadomość, że kwestja żydowska jest w życiu naszem jednem z najdonioślejszych, najpilniejszych do rozwiązania zagadnień, że wymaga rozstrzygnięć odważnych i stanowczych, reformy radykalnej, zasadniczej. I nie trudno zrozumieć, z jakiem zaciekawieniem czytelnik polski

karmiony oficjalną strawą oświadczeń o „państwowości bez różnicy narodowości", chwyta do rąk dzieło męża stanu, pouczające, między innemi, o właściwym sensie sprawy żydowskiej w Polsce, a zarazem informujące o zmianach, jakie zaszły w położeniu światowem żydostwa, ułatwiających nam celową i konsekwentną politykę w tej dziedzinie.

Można śmiało zaryzykować twierdzenie, że znaczna część sympatji i zaufania, jakiem opinja polska otacza dziś kierunek narodowy, w szczególności młodsze jego zastępy, wyrasta z nadziei, że ten obóz jedynie potrafi Polsce dać rozumny program w sprawie żydowskiej i program ten wytrwale i bez odchyleń wykonywać. Im mocniej przekonanie to utrwali się w świadomości społeczeństwa, tem znaczniejsze wydobywać ono będzie z siebie siły, aby przez zmianę stosunków politycznych w państwie wypełnienie tego programu ułatwić i przyśpieszyć.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

Z WIELU ZWOLENNIKAMI OBOZU „SANACJI" dzielimy jedno: wspólny wstyd za hasło „państwowe", dziś forsownie popularyzowane. Trudno odrazu wykreślić je ze słownika wyrazów demagogicznych. Zostało tam wprowadzone urzędowo. Oczyszczenie języka politycznego pod tym względem nie będzie tak łatwe. Na przeszkodzie stoi zwłaszcza Ministerstwo Oświaty. Świeżo w sejmie p. minister Jędrzejewicz udzielił uroczystej aprobaty beztreściwemu hasłu. Pisząc „beztreściwemu", mamy na myśli wypadek najlepszy. Zbyt często dziś życie wyposaża to hasło w doraźny walor, wielce praktyczny, zwłaszcza przy załatwianiu drobnych spraw personalnych. Gdy się jest u władzy, najłatwiej rozprawić się z niewygodnymi przeciwnikami politycznymi przy pomocy ideologji „państwowej". Jak wiemy z oficjalnej interpretacji (np. z zeznań wicemin. Stamirowskiego, złożonych w procesie brzeskim), „antypaństwowe" jest to, co jest „antyrządowe". Niedalekim od prawdy będzie wniosek, że w takim razie „państwowy" znaczy częstokroć „rządowy". To jest to oryginalne i podstawowe znaczenie, które słownik podręczny aktualjów politycznych uwzględniać powinien na pierwszem miejscu. Interpretacja inna, taka np., jaka przyjęta jest powszechnie wśród narodów o mocnej, odwiecznej tradycji państwowej, — jakże fałszywie brzmieć musi obok powyższej! „W dziedzinie wychowania w ostatnich latach wysunięto hasło wychowania państwowego" — mówił minister Jędrzejewicz. „Ciekawe, jak to hasło, które wyrosło w każdem normalnie zbudowanem państwie, zostało wynaturzone przez opozycję". Słusznie, opozycja hasło „państwowe" pojmuje mniejwięcej tak, jak się je pojmuje np. we Francji i Anglji; a któż będzie twierdził, że te państwa są normalnie zbudowane?

„... ZOSTAŁO WYNATURZONE PRZEZ OPOZYCJĘ. Zrobiono z niego karykaturę złą, do oryginału niepodobną" — ciągnął dalej minister. Jasna rzecz, że np. angielskie pojmowanie roli państwa wyglądać musi karykaturalnie przy naszym „oryginale". Ale trudniej się zgodzić z następnem twierdzeniem mówcy. „Akcja ta sięga także do duszy młodzieży, stawiając na fałszywym gruncie jej stosunek do skarbu najcenniejszego, wypracowanego trudem, poświęceniem i krwią pokoleń — do niepodległości Państwa". Tu przypuśćmy na chwilę, że min. Jędrzejewicz ma wyższe pojmowanie ideologji „państwowej" od wicemin. Stamirowskiego, i ostatnie słowa potraktujmy poważnie. Suwerenności narodowej, skarbu istotnie bezcennego, nie należy utożsamiać z machiną państwową. Obrona niepodległości narodowej, to przedewszystkiem obrona swobodnego życia cywilizacji narodowej, wraz z jej koncepcją roli państwa w życiu narodu. Obrona niepodległości, to nieraz w pewnym sensie walka o to, aby państwa w pewnych dziedzinach życia właśnie nie było. W życiu narodu naszego państwo mniejszą gra rolę, niż naprzykład w Rosji bolszewickiej. Odpierając bolszewików, walczyliśmy także z obcą koncepcją wszechmocy państwa. My, zgodnie z tradycją zachodnio-europejską, wyznaczamy mu rolę skromniejszą... A zauważmy, że w gruncie rzeczy wielkich różnic w zapatrywaniach, jeśli chodzi o rolę państwa, w społeczeństwie naszem niema. Nikt na serjo nie wysuwa jakiegoś radykalnego programu rozszerzenia kompetencyj państwa. Ani też nikt nagwałt nie usiłuje ich zwęzić. Pod tym względem zgoda panuje w Polsce, tumanionej czczem hasłem. Nikt nie kwestjonuje zasadniczych obowiązków względem państwa, takich jak służba wojskowa albo płacenie podatków. Nikt odpowiedzialny nie wyobraża sobie konkretnego obowiązków tych rozszerzenia. Dlatego hasło „państwowe" może tylko oznaczać rodzaj *„status quo"* pod tym względem. Dlatego hasło nazwaliśmy w najlepszym razie — beztreściwem. W najlepszym razie oznacza ono, że naród nanowo zdobyć trzeba dla idei płacenia podatków, nanowo nauczyć go rozumieć obowiązek służby wojskowej... Jak na naród, co „trudem, poświęceniem i krwią pokoleń" odzyskał niepodległość, co państwo swoje miał od lat tysiąca — to program groteskowy. Niewiele snadź mamy szacunku dla samych siebie, jeśli szukamy nowych wzruszeń w ideologji „państwowej".

„KTO RZETELNY BĘDZIE KPIŁ, LUB WYSZYDZAŁ TE HASŁA, traktując je jako niedowarzone nowinki, jak to w prasie obozu prawicowego się dzieje? Czyż w wychowaniu dawnych Spartan lub Rzymian nie było istotnych elementów tego wychowania, chociaż rola państwa od tych czasów tak się zmieniła?" — pytał w konkluzji minister.

Tu dał wyraz psychice, opanowanej jeszcze nastrojami czasów niewoli, ciągle olśnionej faktem, że mamy własne państwo, czy własne wojsko. Zbyt dużą rolę gra jeszcze ta psychika w polityce doby dzisiejszej. Niezrozumiała jest zupełnie dla tych, co państwo polskie i obowiązki obywatelskie traktują jako rzecz normalną i wcale nie nadzwyczajną. Dla tych hasło państwowe jest tylko przypominaniem naszej młodości, pokazywaniem się światu w roli panów na naszej ziemi... Dlatego tak przykre jest dla jednostek zarówno w obozie naszym, jak sanacyjnym, o czulszym zmyśle godności narodowej. Dlatego tak kompromituje nas przed zagranicą. — Zrozumiałe jest, że okres niewoli poczynił w naszej psychice pewne spustoszenia, że nie dla wszystkich jeszcze państwo „jest jak powietrze", którego się normalnie nie czuje i o któ-

rem się nie myśli. Ale trudno, aby takie przeżytki okresu niewoli, jak ideologja „państwowa", otaczać szczególnym szacunkiem. Ta suggestja powinna czemprędzej zniknąć z naszego życia i w Polsce stać się tak śmieszna, jak śmiesznem byłoby jej rozpowszechnianie w odwiecznych państwach Zachodu, w Anglji, Francji, Hiszpanji, Niemczech...

JEST JESZCZE JEDEN, NAD WYRAZ NIEWŁAŚCIWY UŻYTEK przymiotnika „państwowy" w potocznym języku politycznym. Redaktor słownika żargonu politycznego naszych czasów powinienby i to znaczenie zanotować, rumieniąc się za swoich współczesnych. Mamy na myśli znaczenie, jakie nadaje się słowu „państwowy" w związku z polityką bieżącą, w zastosowaniu do mniejszości narodowych, zwłaszcza mniejszości żydowskiej. Polityka ma być nie „narodowa", nie „nacjonalistyczna", a „państwowa" — postawienie sprawy, które samo przez się odrazu problem mniejszości rozwiązuje, mianowicie przez zanegowanie, że taki istnieje. Mniejszości w państwie dostrzec może jakoby tylko „nacjonalista", przenigdy „państwowiec"... Są sami „obywatele"... Trudno o melancholijniejsze świadectwo bezmyślności czasów. Państwo rzymskie, na które powoływał się min. Jędrzejewicz, ani trochę mniej państwem nie było przez to, że miało liczną klasę niewolników. Wychowanie spartańskie nie było mniej „państwowe" (wybaczcie słowo), przez to, że w kraju znano stanowisko prawne helotów. Polityka sanacyjna może z większem czy mniejszem powodzeniem aspirować do miana filosemickiej, lecz to pewna, że nawet największa doza filosemityzmu nie uczyni jej ani na jotę więcej „państwową". W państwie mogą być wszyscy obywatelami. Może też istnieć zhierarchizowanie społeczeństwa i nierówność prawna w tej czy innej postaci. Oczywistem jest, że rozwiązania kwestji mniejszości, takiego czy innego, nigdy znaleźć nie można na drodze rozważań „państwowych". Chyba, że doba dzisiejsza państwo utożsamiałaby z demokracją?... Chyba... Niema co mówić, dobrze utożsamiła. Sam symbol Brześcia coś wart...

IDEA SANACYJNEGO SAMORZĄDU, KTÓRA TAK PRZERAZIŁA społeczeństwo polskie, nie pozostawała dotąd jedynie w sferze projektów prawnych. Pełne jej zrealizowanie wraz ze wszelkiemi konsekwencjami można spotkać w jednem z państwowych gimnazjów warszawskich, gdzie od niejakiego czasu dyrektorem jest b. oficer z Wołynia.

Wprowadzono tam samorząd uczniowski wielostopniowy i skomplikowany tak dalece, że przeciętny uczeń niezbyt się orjentuje, jakie ma władze samorządowe nad sobą. Oczywiście niższe stopnie samorządu są kontrolowane przez wyższe organy samorządowe, wyłonione znowu drogą pośrednią.

Jeżeli jednak chodzi o zadania samorządu klasowego, to postawiono mu dwa: 1) porządkowe i 2) kulturalne. Zadania porządkowe polegać miały na wyznaczaniu dyżurnych, którzyby notowali nazwiska kolegów i składali je w dyrekcji szkoły. Zadania kulturalne ograniczają się do nabycia i zawieszenia na koszt uczniów—znanej podobizny.

Zdarzyło się wszakże w jednej z niższych klas, że lokalny organ samorządowy opieszale zabierał się do ozdobienia klasy portretem. Wobec tego samorząd wyższego stopnia zawiesił „wójta" i mianował komisarycznym wójtem — ucznia tejże klasy, żydka. Wywołało to wśród sztubaków oburzenie i dyskusję. Jedni twierdzili, że jednak władzy słuchać trzeba. Inni dowodzili, że należy tylko władzy legalnej, a nie instancyj, które są jedynie pokrywką dla dyktatury, samorząd wprowadzającej. Rzecz prosta, że chłopcy dyskutowali także o prawie, antysemityzmie i osobie portretowanej. Można być pewnym też, że pod wpływem samorządu sanacyjnego, będącego wyrazem „wychowania państwowego", sztubaki nawet z niższych klas dojrzeją prędko w dziedzinie „wyrobienia politycznego", może za prędko nawet. Tylko jak na tem wyjdzie wychowanie w dawnem tego słowa znaczeniu?

NAUKA I LITERATURA

DOKOŁA DWÓCH OSTATNICH NAGRÓD LITERACKICH WE FRANCJI

BYŁO to krótko po wojnie. Prowokujący księżyc oświecał wspaniałą *Avenue des Champs-Elysées.* Przechodziło po niej dwóch francuskich pisarzy. Jeden z nich, znający doskonale psychologję nowego życia, westchnął głęboko i pod wpływem owej sentymentalnej nocy oświadczył *„quel dommage que le coeur ne se porte plus"!*

I rzeczywiście, młoda generacja, oddając się z pewnym szałem zabawom i sportom, miała najrozmaitsze bolączki, z wyjątkiem jednakowoż bolączek sercowych. W obecnej natomiast chwili znajdujemy się, z punktu widzenia literackiego, znowuż na przełomie. Jest on innego zupełnie rodzaju. Podobnie bowiem jak poprzednio serce, tak teraz zaczyna pomału wychodzić z mody „trójkątna miłość", t. j. mąż, żona i kochanek, albo też „ona" i dwaj kochankowie.

Jury Goncourt'ów trzyma się jednak widocznie dawnej tradycji, ponieważ nagrodziło książkę p. Jana Fayard p. t. *„Mal d'Amour"* [1]). Prawda, że członkowie *jury* dziesięciu są, z wyjątkiem Rolanda Dorgelés'a, dosyć już podeszłego wieku. Ciekawy też niezmiernie kontrast stanowi z tą nagrodą płci silnej, nagroda przyznana równocześnie p. de Saint-Exupery za jego *„Vol de Nuit"* [2]) przez pismo *„Femina"*, *Prix heureuse*, czyli przez przedstawicielki rodu niewieściego. Powiedzmy też odrazu, iż wybór tych ostatnich był znacznie szczęśliwszy, bardziej „męski". *Jury* kobiece bowiem nagradza książkę w której nietylko miłość nie wchodzi w grę, ale nawet pozbawioną wszelkiej romantyczności; *jury* męskie natomiast koronuje powieść *par excellence* psychologiczną, sentymentalną, a której oś stanowi właśnie ów osławiony trójkąt, na opisanie którego autor potrzebował aż 383 stron druku!

Jak się jednak przedstawia pokrótce fabuła *„Mal d'Amour"*? — Młody żołnierz, Jacques Dolent, przynależący do sfer intelektualnych, poznaje przypadkowo uroczą Florence Duthard. Ta ostatnia jest równocześnie kochanką i modelem sławnego malarza angielskiego, Davis Dougherty. Anglik zawdzięcza jej nietylko swoje największe płótna, ale także kocha Florence tak dalece, że dla zachowania jej przystaje na różne bolesne dla miłości własnej i wogóle dla miłości kompromisy. Florence zrazu flirtuje tylko z Jacques'em. Przyjdzie jednak chwila, w której zainstaluje się on na kilka tygodni w jej willi w Arcachon. Wówczas zaś rozpocznie się istotny romans. Florence, korzystając z nieobecności dyskretnego Dougherty uda się nawet do Orleanu, gdzie Jacques od-

---

[1]) *Mal d'Amour*— Jean Fayard (Arthème Fayard *édit).*

[2]) *Vol de Nuit* — Antoine de Saint-Exupéry (*Nouvelle Revue Française.)*

sługuje swą służbę wojskową; odnajdzie go potem w Paryżu, spotykając pomiędzy dwiema wizytami swego oficjalnego przyjaciela. Aż przyjdzie chwila, w których porzuci obydwóch dla... trzeciego. Jest nim dymisjowany oficer marynarki, z którym Florence opuści Francję. Po krótkim jednak pobycie w Ameryce powrócą oboje do Europy, zupełnie zrujnowani. Gdy zaś przyzwyczajona do zbytku Florence zapadnie poważnie na zdrowiu, wówczas raz jeszcze z pomocą finansową przyjdzie jej Dougherty. Wszystko nadaremnie: Florence umiera, a wówczas dziwnem zrządzeniem losu, trzech tych jej kochanków spotka się w Arcachon, filozofując każdy na swój sposób.

W książce p. Fayard jest dużo ciekawych stronic pełnych młodzieńczej werwy, wiele interesujących opisów i analizy uczuć nieco przewlekłych. Powieść napisana jest dobrze, czyta się ją z zainteresowaniem, ale można to powiedzieć o licznych produkcjach literackich, jakie ukazały się w ostatnim roku. Ostatnia nagroda Goncourt'ów jest zatem bardzo przeciętnym wyborem.

Inaczej przedstawia się sprawa z laureatem „*Femina*". P. Saint-Exupéry, autor „*Vol de Nuit*" jest lotnikiem, pełniącym swą służbę w „*Compagnie aéropostale*", która stworzyła stałe linje pocztowe pomiędzy starym i nowym kontynentpm oraz rozwinęła je w Ameryce południowej. Dla pośpieszniej jednak komunikacji, celem rywalizowania z pocztą, przewożoną statkami, towarzystwo to zorganizowało nocne loty. Są one bardzo niebezpieczne. Często też kończą się tragicznie.

Tematem książki p. Saint- Exupéry jest właśnie jeden z tych nocnych lotów. Rivière nietylko kieruje niemi, ale jest w dodatku głównym ich inicjatorem. Ciekawa to sylwetka szefa energicznego, brutalnego, zdawałoby się chwilami, nieraz, ale tylko dlatego, że jak sam mówi: „*Aimez ceux que vous commandez; mais sans le leur dire*". W tych warunkach łatwo jekiemuś surowemu rozkazowi przypisać brak serca: Riviére tymczasem sam przechodzi często przez dramatyczne chwile, ale swego wzruszenia nie okazuje. Tak się właśnie rzecz ma, gdy jeden z młodych lotników wyrusza w przestworza.

Noc zrazu jasna. Niebawem jednak pogoda się zmienia; zbliża się burza, a raczej prawdziwy cyklon. Pilot walczy energicznie, ale wiatr przerzuca go nad morze; z godziny na godzinę zmniejsza się ilość benzyny, panują ciemności. I oto nagle wzbija się raz jeszcze lotnik ponad chmury, szukając ocalenia, ale nadaremnie. Radjo jego funkcjonuje coraz gorzej. To też na lotnisko przychodzą tylko wiadomości oderwane. Udaje się zaśjna nie, do Rivière'a, zwierzchnika lotnika, młoda jego żona, pełna niepokoju. Riviére stara się ją uspokoić, ale wie, że nad nieobecnymi zawisła groza śmierci. To zmaganie się wewnętrzne człowieka odpowiedzialnego oddane jest z niezwykłym dramatyzmem. Nie traci on jednak zimnej krwi i pomimo szalonej rozterki rzuca rozkaz przygotowania aparatu do odlotu dla innego awjatora.

Opis tej tragedji jest oddany w słowach niezmiernie prostych, zwięzłych i przez to samo wzruszających, w przeciwieństwie do ogromu i dramatycznego piękna przestworzy, w których rozgrywa się dramat. Autor-lotnik zresztą zdaje się być bardziej poetą niż psychologiem, przyzwyczajony do górnych samotności — nocnych lotów.

Paryż I. BRIARES

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

W związku z umieszczonym w nr. 5 „Myśli Narodowej" artykułem p. K. L. Konińskiego p. t. „Kawałek młodego renegata" (o germanofilskiem wystąpieniu p. M. Piechala), zarząd Krakowskiego Klubu Literatów nadsyła nam sprostowanie, stwierdzające iż Klub ten „nigdy nie miał żadnych ściślejszych stosunków z p. Szukalskim, przeto nie może być mowy o jakiemś „wieszaniu się przy Szukalskim", pozatem zaś zarząd oświadcza, że „nic nam nie wiadomo, aby p. Marjan Piechal był kiedykolwiek członkiem naszej organizacji, jak to twierdzi p. K. L. Koniński".

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Bardzo sympatycznem zjawiskiem literackiem jest powieść Wandy Miłaszewskiej „Czarna Hańcza", ilustrowana fotografjami Bułhaka (Poznań 1932, księg. św. Wojciecha). Autorka wielu powieści, cieszących się dużą poczytnością w szerokich sferach inteligencji, z niemałą pomysłowością literacką zbudowała interesujący tom beletrystyczny z materjału, którego jej dostarczyła pięciodniowa wycieczka łódką po jeziorach systemu Augustowskiego. Zgrabny fejleton, ożywiony dyskursem dwojga uczestników wycieczki, mianowicie jej samej i brata, podniosła na wesoło do godności powieści (ta forma bowiem ma największe wzięcie) przez wmówienie w czytelnika, że jest to romans kajaka żaglowego z piękną Czarną Hańczą (dopływem Niemna). Okupiwszy się tą daniną wymaganiom wydawniczym, całą duszę oddała ełnemu zachwycenia opisowi podróży.

I to jest właśnie sympatyczną właściwością książki i wartością jej literacką, że tak szczera brzmi w niej nuta uwielbienia dla przyrody. Opis krajoznawczy staje się zarazem poezją, wpuszcza do literatury masę świeżego powietrza i słońca. Ze sportowego wzięcia się do rzeczy odrazu widać, że ten stosunek do natury Wandy Miłaszewskiej niewiele ma wspólnego z literackiem traktowaniem pzyrody z czasów romantyzmu. Doraźne spożycie rozkoszy, jaką daje bezpośrednie fizyczne zetknięcie się z żywiołem, cechuje poezję jezior Miłaszewskiej. Do tego dołącza się zainteresowanie poznawcze, potrzeba duchowa poznania geografji kraju i jego przyrody. Romantycy szukali w przyrodzie poezji, autorka dzisiejsza szuka w niej radości; tam była melancholijna epoka „*Weltschmertz*'u" i mizantropji, tutaj zdobywcza wesołość.

Książka Miłaszewsktej z pożytkiem i przyjemnością będaie czytana zarówno przez starszych, jak i przez młodzież. Rześka jest, zdrowa, roześmiana i pouczająca. Ilustracje Bułhaka — prześliczne. (W)

*

Niebawem ukaże się tom I „Pamiętnika" Marji Kasprowiczowej. Będzie to zdarzenie literackie wyjątkowe w dziejach piśmiennictwa, nie zdarzyło się bowiem, aby wielki poeta miał przy sobie kogoś, któryby prowadził dziennik z zamiarem studjowania jego duszy. Panna Marja Buninówna, rosjanka, córka generała z Petersburga, poznała Kasprowicza we Włoszech. Wiedząc o jego sławie, zainteresowana jego indywidualnością rada była zbliżeniu. Intelektualistka, wychowana zagranicą w kulcie wielkiej sztuki i poezji, szukała w zetknięciu z poetą sensacji literackiej. Z książki jej dowiemy się, jak zrodziła się miłość w jego sercu. Różnica wieku była 30 lat. Pamiętnik obejmuje czas od r. 1910 do śmierci Jana Kasprowicza w r. 1926. Tom pierwszy zamknięty będzie — zdaje się — okresem wojny.

Dzieło p. Kasprowiczowej, napisane z talentem literackim, ma wartość ścisłej i przenikliwej obserwacji. Będzie to obfity przyczynek do życiorysu i komentarz do dzieł poety, poczynając od „Chwil" (1911), a kończąc na ostatnim tomie liryk „Mój świat". Całość przybrała formę romansu. Przez usunięcie z pamiętnika wszystkiego, co dotyczyło osób trzecich, autorka skupiła całe światło na psychikę dwojga ludzi, z sobą harmonizujących lub też borykających się. W książce tej znajdziemy — klucz do zrozumienia natury erotyki Kasprowicza, jako naczelnej siły psychicznej w poruszaniu poetyckiem. Ogół będzie czytał tę książkę jak piękną powieść, dla świata literackiego będzie rewelacją.

Dzieło wydane będzie nakładem Funduszu Kultury.

*

Zamało mamy wprawdzie faktów, by mówić o renesansie Prusa, ale dość, by stwierdzić, jak ani na chwilę pisarz ten nie przestał być żywym. Daleko mu jeszcze, chwalić Boga, do bibljotecznej i komentatorskiej mumifikacji. W świeżej pamięci przechowujemy nietylko „Warszawę" Godlewskiego, ale i jego cykl niedawny, zagajony pod hasłem „Bawmy się Lalką", w którym polot słowa nadąża za polotem myśli skrzydlatej, a jednocześnie zamkniętej w ramach tekstu.

To, ale nietylko to — bo i piękna „Kronika Tygodniowa" P. Choynowskiego z przed kilku lat w „Tyg. Ill." i szereg objawów podobnych — niechaj świadczy, że Prusowi zawcześnie jeszcze do historji literatury: egzegeci i uczeni muszą się przedrzeć ku niemu przez tłum — czytelników.

Ale Prus ma szczęście do inteligentnych komentarzy. Styczniowy zeszyt „Przeglądu Współczesnego" przyniósł szkic porównawczy Ignacego Górskiego p. t. „Lalka"

Prusa a „*Confession d'un enfaut du siécle*“ Musseta.“ Wśród wpływów literackich, które urobiły kształt „Lalki“, znalazł się m. in. ten zapoznany udział Musseta, oczywisty — wobec rezultatów pracy Górskiego—nietylko w wiązaniu akcji; niepodobna przeczyć „licznym i wymownym zbieżnościom“, sięgającym głębiej: do koncepcyj ideowych i artystycznych. Ale Igo. Górski nie odkrywa trjumfalnie nowego — obok Flauberta, Zoli, Hugo — źródła „Lalki.“ Wskazawszy uderzające zależności, wie, że „należy je... właściwie rozumieć“. „Spowiedź“ Musseta nie była dla Prusa ułatwieniem w pracy; nie przyniosła mu pewnych form gotowych, — „powieściopisarz nasz musiał niejako odwołać się do Musseta: „Spowiedź“ stanowi dokument romantyczny, na którym najłatwiej można zilustrować zwalczaną przez Prusa wszechwładzę i wybryki uczucia erotycznego“. Studjum objaśnia, jak dalece umiejętnie skorzystał Prus „z przysługującego mu prawa pożyczek literackich“; owe zbieżności w pomysłach równoważą przeciwieństwa ideowe, wnikliwie podpatrzone.

Wszyscy, którzy „bawią się Lalką“, z ciekawością śledzić będą wywody autora, szukając zresztą nietylko zabawy. Jakże powiedział sam Prus? „Kto Lalkę przeżył, wiele przeżył“. (T. M.).

*

Komitet jubileuszu pracy naukowej prof. Frnciszka Bujaka wydał ku czci jubilata zbiorową księgę p. t. „Studja z historji społecznej i gospodarczej“. Plon wieloletniej pracy prof. Bujaka przejawiał się tak w jego dziełach, jak i w dziełach jego uczniów. Obecnie wydane „Studja“ wykazują w skrócie rozległość zainteresowań historycznych i wogóle naukowych jego i jego uczniów, i w wielu kierunkach otwierają nowe dla poglądów naukowych perspektywy. Działalność uczonego odzwierciadla podana na wstępie bibljografja prac od 1896 — 1931 r., kilkaset zgórą numerów, a dopełnia „Kronika semiuarjum historji społecznej i gospodarczej“, to jest wykaz tematów, omawianych na semiuarjum profesora z uczniami w uniwersytecie im. Jana Kazimierza we Lwowie w przeciągu jednego dziesięciolecia. Dwadzieścia opracowań, zamieszczonych w księdze pamiątkowej, wnoszą, każde z innej dziedziny historji, nowe wartości. Badaniu autentyczności dokumentów i istoty instytucyj prawnych na Śląsku od czasów najdawniejszych, bo od XII i XIII wieku, oczyszczeniu z chwastów fałszu i tendencyjnych nalotów literatury niemieckiej, dobyciu na jaw rdzennych cech polskości ludu śląskiego i urządzeń państwowych tej dzielnicy, poświęcone są ścisłe referaty pani Z. Kozłowskiej-Budkowej, prof. Tymienieckiego, R. Grodeckiego i o ogólniejszym charakterze praca Z. Wojciechowskiego „Z zagadnień rodziny kulturalnej polskiego ustroju średniowiecznego“. Dalsze rozdziały księgi pamiątkowej, przeważnie z zakresu zagadnień, dotyczących ustroju rolnego w Polsce, polityki agrarnej, handlu i statystyki są ważkiemi przyczynkami dla rozwoju tych gałęzi nauk. Więc rezultaty badań osadnictwa w Małopolsce wschodniej od XV wieku, przedsięwzięte na podstawie średniowiecznych aktów przez F. Persowskiego. I. Hładyłowicza „Zmiany krajobrazu w ziemi lwowskiej od XV do XX wieku“. Prace o gospodarstwie rolnem, finansach i stosunkach wyznaniowych, uspołecznieniu wsi i kulturalnym postępie ludności, lub też, w zależności od katastrof politycznych, nędzy gospodarstw, pióra Artamowskiego, Inglota, Zubyka, Wytanowicza, Charewiczowej, Gilewicza, Paryry, Kramarza i Sanderbergera, dają retrospektywny obraz dawnej Polski, wraz z żywotnym resonansem aktualności. Jedną z dziedzin ogromnego dorobku naukowego prof. Bujaka są, jak wiadomo, jego monografie wsi. To też w księdze pamiątkowej zajmuje znamienne miejsce rozprawa K. Dobrowolskiego „Dzieje wsi Niedźwiedzia w powiecie limanowskim do schyłku dawnej Rzeczypospolitej“. J. Warażka „Historja Kasy Pożyczkowej w Łowiczu w siedemnastem stuleciu“ nasuwa wspomnienie o najdawniejszym banku polskim, Banku Miłosierdzia w Krakowie. Lub znów rozprawa T. Lutmana „Handel Triestu w r. 1775 w świetle memorjału Ricciego“ nawiązuje rezultaty badań do bezcennych studjów Łozińskiego o mieszczaństwie i wybujałych aspiracjach kupiectwa we Lwowie, co z biegem czasu tak wydatnie umocniło ekonomiczny byt tego patrjotycznego grodu kresowego. Wogóle całość, złożona z elementów napozór rozbieżnych, spełnia swą wytyczną ideę, przedstawienia potencjalności życia dawnej Polski i jej cywilizacyjnego posłannictwa. „Studja z historji społecznej i gospodarczej“ są, podobnie jak księga pamiątkowa, wydana przed dwoma laty we Lwowie ku czci prof. Oswalda Balzera, publikacją na wysokim poziomie naukowym, a tem milszą polskiemu czytelnikowi, że jest manifestacją młodej nauki uniwersyteckiej Lwowa. (A. W.)

*

Nietylko historyk zaglądać winien do „Ateneum Wileńskiego“, które zrazu pod kierownictwem K. Hodynickiego, obecnie zaś T. E. Modelskiego — wybiło się na czoło naszych regjonalnych perjodyków; poświęcone badaniom dziejów wielkiego X. Litewskiego, pociąga źródłową sumiennością swych artykułów, rozpraw, miscellaneów. Zeszyt 3-ci „Ateneum“, ogłoszony niedawno za r. 1930, przynosi wiele cennych publikacyj historycznych, skupiających się koło postaci Witolda i jego 500-niej rocznicy.

Historyka literatury zainteresuje przedewszystkiem gruntowna rozprawa prof. Jana Oko, który odkrył nieznanego humanistę XV w. Pawła Deusterwalta. Znaleziony w Wilnie kodeks Pawła, pełen komentowanych dzieł klasycznych, zachęcił autora do sumiennego zbadania świadectw, które po owym humaniście ocalały. Prof. Oko, znany zaszczytnie filolog wileński, rekonstruuje żywot Pawła, kanclerza biskupa warmińskiego oraz proboszcza w Elblągu; dalej zaś ocenia pozostałą po Deusterwalcie puściznę literacką: ów kodeks wileński i wspomnienia autobiograficzne. Skrzętności badawczej prof. Oko zawdzięczamy w ten sposób cenny przyczynek do historji kultury polsko-łacińskiej w Prusiech i do dziejów ogólnych naszego humanizmu.

W tym samym zeszycie tenże uczony omawia „nieznanego autora pieśń o bitwie pod Grunwaldem“, znaną dotychczas w wersji skażonej. J. Oko drukuje tekst poprawny, kreśli jego losy oraz stan badań nad zabytkiem, przypisanym mylnie Mikołajowi z Błonia,—analizuje wreszcie uczenie kształt łaciński wiersza.

Obydwie publikacje stanowią cenny wkład do dziejów polskiej literatury łacińskiej. (T. M.).

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Autorem „*La Mort du Fer*“ *(Fayard èdit.)* jest p. S.-S Held, inżynier z zawodu. Jego książka może być uważana jako antycypacja, jako fantazja, albo też jako filozoficzny protest przeciwko panowaniu maszyny. Znajdujemy się w wielkich fabrykach stali w Denain, znanych z przedniości swych wyrobów. Razu jednak pewnego do warsztatu przeniesiono jakiś znaleziony meteoryt. Z początku nikt oczywiście nań uwagi nie zwracał. On to jednak przyniósł ze sobą chorobę zakaźną metali i udzielił jej stali. To ostatnia zaczyna pokrywać się jakby plamami, traci swą twardość, oraz oczywiście wszystkie z nią związane zalety. Choroba ta zaczyna przybierać takie rozmiary, że inżynierowie muszą przeprowadzać najrozmaitsze ekspertyzy, ale wszystko nadaremnie. Zarodki straszliwej choroby, jaką autor nazywa „*Mal Bleu*“, szerzą się w sposób coraz bardziej zastraszający, zarażając jedne po drugich części żelaza. I oto groźba katastrofy zawisa nad fabryką: łamią się, narzędzia, psują maszyny, a co za tem idzie wzrasta bezrobocie. Zło szerzy się dalej; zawalają się mosty, zostają unicestwione statki wojenne i t. d. i t. d. Jeżeli początkowo z ukazaniem się „*Mal Bleu*“, przypuszczano, że pewne niedokładności w fabrykowaniu były spowodowane jakąś akcją sabotażową, to jednak potem rzeczywistość straszliwa występuje z tem większą siłą: żelazo zamiera! Nie potrzeba chyba dopowiadać, jakie szerzy to ze sobą dalsze katastrofy, nietylko już we Francji, ale w Europie i na całym świecie. Co wobec tego kataklizmu uczyni człowiek? — Ludzkość zmuszona będzie szukać innych dróg i konstruować maszyny bez żelaza! Oczywiście, iż przy tego rodzaju przewrocie rytm życia stanie się zrazu powolniejszy, ale, jak pociesza nas autor, po stu latach nabierze ludzkość innych przyzwyczajeń! A potem, dzięki podobnemu przewrotowi, dane właśnie będzie człowiekowi wejść trochę bardziej w siebie, podbić swą własną istotę, a nietylko świat zewnętrzny. „*La Mort de Fer*“ jest książką niezmiernie ciekawą ze względu na oryginalny jej temat, a także ze względu na autora, inżyniera-dyrektora fabryki właśnie, który nie zawahał się podobnie śmiałej antycypacji, jaka jednak, podobnie jak tyle innych np. Jules Verne'a, stać się może tylko uprzedzeniem wypadków przyszłości. (J. B.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

W „ZACHĘCIE“ otwarto szereg nowych wystaw: Salon Związku Zawodowego Polskich Art.-Grafików, urządzany co dwa lata, zbiór krajobrazów St. Żukowskiego, kolekcję prac P. Górskiej, St. Dybowskiego i bardzo ciekawy plon konkursu na plakat dla cukrowników, pod popularnem hasłem: cukier krzepi. Zacznijmy od niego. Konkurs się udał. Przysłano prac spo-

ro, niemal wszystkie są na poziomie, nie brak rzeczy wybitnych. Gorzej jakoś z tym sądem konkursowym, pomyliło im się: pracy, zasługującej na pierwszą nagrodę dali jedną z ostatnich; temu samemu artyście dano dwie nagrody, bardzo dobrze, dlaczego jednak za pracę słabszą dostał więcej? Widocznie cukier innych krzepi, a samym cukrownikom szkodzi. Ja się nie dziwię, że ci, co konkurs ogłosili, chcą w nim mieć udział jako sędziowie, to jest całkiem naturalne, przecież plakat robi się dla nich. Ich zdanie jest dla nas ciekawe i nieobojętne, gdyż wyobraża właśnie poglądu widza, dla którego plakat się przeznacza. W sądzie konkursowym nie było jednak ani jednego grafika. I to już trudniej uważać za normalne, a jeszcze trudniej za pożyteczne. Nie rozumiem także czem się kierowali panowie sędziowie w rozdawaniu nagród. Można wyjść z fałszywego założenia i przytem swojej prawdy bronić konsekwentnie. Ale tu niema konsekwencji. Chcecie, żeby plakat był obrazkiem, żeby był miły i wszyscy go rozumieli? *Bene*. Rzecz dobrze narysowaną też można zrozumieć. Niedość, że kmiotek i kotek pana Br. Wiśniewskiego nikogo nie drażnią, trzeba jeszcze by nie drażniły i artystów. Bardzo dobry plakat M. Obrębskiej i St. Platera odpowiada wszystkim wymaganiom, jakie można plakatowi postawić: jest artystyczny, b. prosty i zrozumiały dla wszystkich. P. Jagodziński zrobił pierwszorzędną rzecz, dostał VI-tą nagrodę. Jego praca nadaje się do rozplakatowania w mieście; na wieś i prowincję odpowiedniejszy byłby afisz dwu autorów już wymienionych. O p. Gardowskim (III nagroda) lepiej nie wspominać.

Sam pomysł wystawienia całego plonu konkursowego b. dobry i wysoce pouczający dla publiczności, jako pokaz różnorakich rozwiązań tego samego zadania i porównanie mniej lub więcej udałych dowcipów plastycznych, na temat „cukier krzepi".

WIKTOR PODOSKI

ZMARLI

† JULJAN ADOLF ŚWIĘCICKI

Ze śmiercią Juljana Adolfa Święcickiego prysła jedna z ostatnich nici, łączących Polskę dzisiejszą z—poko leniem ojców naszych. Dla naszego pokolenia J. A. Święcicki był czcigodnym zabytkiem, wcieloną historją — XIX w. Siwowłosy starzec, jako piętnastoletni chłopiec, brał czynny udział w walkach Polski wojującej z najeźdźcą, pracował społecznie i naukowo w dobie Polski cierpiącej, aż doczekał się wreszcie Polski trjumfującej. Podziwialiśmy jego zapał, żywość umysłu, której niemoc fizyczna zaćmić nie mogła, szlachetność poglądów i czystość charakteru. Był to naprawdę jeden z „takich Polaków, co są piękni", jak powiada Wyspiański w „Weselu", — piękny był duszą i ciałem do ostatnich chwil zasłużonego żywota.

Nie będę się tu rozwodził nad działalnością pisarską Święcickiego: znamy wszyscy dziesięć grubych tomów „Bibljoteki Dzieł Wyborowych", zawierających historję literatur wschodnich. Mniej są znane jego utwory poetyckie, dramatyczne i liryczne, zawsze przepojone szlachetną myślą, oraz jego przekłady i studja z zakresu piśmiennictwa hiszpańskiego, włoskiego, francuskiego, angielskiego i szwedzkiego. Tow. Naukowe Warszawskie w uznaniu tej jego pracy uczciło go medalem zasługi za działalność naukową.

Ale ta praca nie wyczerpywała zainteresowań Święcickiego. Drugą, również owocną stroną jego działalności, była praca społeczna. Związany ściśle z Warszawą, J. A. Święcicki odgrywał w niej, *mutatis mutandis*, taką samą rolę, jak Stanisław Tarnowski w Krakowie. Ale, gdy hrabia profesor mógł, dzięki warunkom miejscowym, polski swój patrjotyzm godzić z lojalizmem austrjackim i opływać w zaszczyty oficjalne — w Królestwie wszystko, co się działo, dziać się musiało wbrew lub przynajmniej pomimo zaborcy. Inny więc typ działacza społecznego tu się wytworzył, i dawny powstaniec doskonale do tej roli się nadawał. Świetny mówca, wierszem i prozą umiał porywać słuchaczy, miał szlachetny gest i wytworne obejście, to też stolica chętnie mu powierzała stanowiska reprezentacyjne, które z godnością a bezinteresownie pełnił. Czy to będzie „Polska Macierz Szkolna", „Kasa Literacka", „Towarzystwo Naukowe", „Towarzystwo Muzyczne" czy „Lutnia" — wszędzie widzimy Święcickiego jako organizatora i przewodnika. Umiał w tej pracy skupiać około siebie ówczesną elitę Polski i szczycił się przyjaźnią najwybitniejszych ludzi tej epoki, że wymienimy tylko Sienkiewicza, Prusa, Ochorowicza, później zaś Dmowskiego i Paderewskiego. W tej roli organizatora sił i uczuć narodowych Święcicki wytrwał do końca. W niepodległej Polsce zostaje prezesem Stowarzyszenia Weteranów Powstania 1863 r. i niezłomnie stoi na straży honoru swoich towarzyszów broni, których rządząca klika daremnie skaptować usiłowała. Również energiczną działalność Święcicki rozwija jako prezes „Komitetu Zjednoczenia Górnego Śląska z Polską" i z tej to epoki pochodzi płomienny jego wiersz do Korfantego. W czasie wojny z bolszewikami widzimy go znów na czele „Komitetu Centralnego Weteranów Obrony Narodowej", zbierającego fundusze na armję ochotniczą, później wręczającego szablę honorową jenerałowi Hallerowi, a wreszcie witającego w Ogrodzie Saskim uroczystą przemową wracające w 1921 r. zwycięskie pułki. Za te jego zasługi Hallerczycy, Dowborczycy, powstańcy śląscy mianowali Święcickiego swym członkiem honorowym i obdarzyli swemi odznakami, co Zmarły wielce sobie cenił, jak również order francuskiej Legji Honorowej, który otrzymał z rąk własnych Marszałka Focha.

Od kilku lat, wskutek złego stanu zdrowia, J. A. Święcicki nie brał żywszego udziału w życiu społecznem i tylko w ważniejszych wypadkach silnie akcentował swoje stanowisko narodowe, czy to podpisując protest w sprawie brzeskiej, czy to kandydując do Senatu z listy narodowej, czy to wreszcie protestując przeciwko zamierzonej przez rząd legalizacji konfiskat mienia powstańców, dokonanych przez władze rosyjskie. Jako prawy Polak, wierny syn Kościoła i człowiek cywilizacji zachodniej, Święcicki głęboko cierpiał nad tem, co się w Polsce obecnie dzieje. Ta Polska dzisiejsza była tak niepodobna do tej, za którą walczył za młodu i o której marzył. Wszystko, co się w Polsce działo dobrego, na niwie społecznej, naukowej, literackiej czy artystycznej, znajdowało w Święcickim zawsze żywy oddźwięk. Ten stary powstaniec zachował do śmierci młodzieńczą, wrażliwą duszę poety i łączył w swej osobie, w przedziwnym aljażu, sarmatyzm szlachcica z wysoką kulturą łacińską.

Po długiem, dobrze wypełnionem życiu, odszedł otoczony powszechną czcią i żalem, dając nam przykład jak szablą i piórem Ojczyźnie służyć należy.

ARTUR CHOJECKI

† IGNACY DĄBROWSKI

Zmarł w Warszawie powieściopisarz śp. Ignacy Dąbrowski. Pisał niewiele, ale to, co ogłosił, przedstawiało zawsze wybitną wartość literacką. Zasłynął powieścią psychologiczną „Śmierć" (1892). Wkrótce potem nastąpiła powieść „Felka" (1893). Trzecia: „Matki" ukazała się po wojnie. Piękne były jego nowele: Sonata cierpienia, Legenda o promyku sobotnim, Jedna łza (1895), Idylla.

Urodzony 21 kwietnia 1869, kształcił się w gimnazjum II w Warszawie. Koleje jego podobne były do losów Żeromskiego. Utrzymywał się mianowicie dłuższy czas jako nauczyciel domowy na prowincji. Przed wojną dano mu posadę nauczyciela geografji w szkołach. Ożeniony z Marją Gersonówną, córką artysty Wojciecha, miał w niej towarzyszkę wierną i opiekunkę.

Szanowany był jako człowiek prawy, a jako pisarz, oprócz sławy, zostawił imię artysty, który szanował sztukę.

OFENSYWA

WIĘCEJ UMIARU

MŁODY człowiek z Kijowa a więc kresowo ognisty i w reakcjach uczuciowych szczery i prosty, rozpowiadał nam tu niedawno o konieczności kultu jednostki ale jednej jedynej Jednostki. „My jesteśmy monoteistami, uprawiającymi zbożnie antropoteizm i chcemy, abyście wy i aby cały naród, wszystkie warstwy, klasy, dzielnice, mniejszości wyznawały wraz z nami antropoteizm. Jeden jest Allah i jeden jego prorok! Tak samo zresztą jest i w Italji, którą tak zawsze wychwalaliście i wychwalacie?"...

Otóż to właśnie. Dygnitarzowi, który równocześnie jest rzeczywiście szczerym entuzjastą, opłaci się na to odpowiedzieć informacyjnie i instruktywnie. Otóż właśnie w Italji, w ostatniej fazie t. j. grudzień 1931 i styczeń 1932, jest pod tym względem duża zmiana, oficjalnie zasuggerowana. Widomym jej znakiem była już dymisja podsekretarza Giuratiego i objęcie jego stanowiska przez A. Starocego. Wydano hasło: temperować wszędzie zbyt wybuchowe, „spontaniczne" i „żywiołowe" objawy kultu dla *„Il Duce"*, nacisk kłaść na *stało*. Wprost zabronione: dedykacje, adresy, hołdy, nazywania ulic, placów, „autostradów", okrętów handlowych, gmachów publicznych i t. p.

Co to znaczy? Już się tem przejedli i cofają się w porę, czując, że cokolwiek przeciągnęli strunę i znudzili tym typem: *„circenses"*. Kto kazał zmianę? On kazał, zawsze czujny, zawsze młody, nerwowy, seismograficznie odczuwający bliższe trzęsienie... gruntu pod sobą. W zeszłorocznej, lipcowej walce z Watykanem zapędzili się trochę zanadto w idolatrji *„Il Duce"*, w ubóstwieniu, w kulcie Jednostki. Odtąd dano hasło: hamować psychozę bizantynizmu!

I teraz, zdaje się, znów wypłynęli na spokojniejsze wody. Serwilistę Filippa z Conoppi, który, nie zorjentowawszy się w konjunkturze („łozungi" po sowiecku), zbyt głośno, po staremu wyrywa się nie w porę z chrypliwem: *„evviva il Duce!"* walą poprostu w łeb, żeby ciszej siedział.

Tempora mutantur.

Nasi zawsze nieco się opóźniają. Niechże więc ten, który pierwszy dawał im pierwsze lekcje faszyzmu (za co przez prasę italską chwalony, przez krakowską Piłsudczyznę jajami był obrzucony), powiadomi ich teraz też, jak tam te sprawy stoją.

A teraz wogóle łącznie z tym całym kultem wyłania się kwestja, czy drogi i metody, obrane dotychczas przez obóz i zakon kultu, dają choćby 50% dla nich upragnionego rezultatu? Koszty są wielkie, olbrzymie, multimiljonowe, pochłaniają ze szkodą państwa moc funduszów dyspozycyjnych. Jakie rezultaty w Europie? Minimalne. Wszystkie wydawnictwa, dla propagandy jednostki wydawane, poprostu leżą. Tysiące tysięcy tomów francuskich, angielskich. Mamy wiadomości. Nikt tego nigdzie nie kupował. Tyle się rozeszło, ile *gratis* rozsyłano. O „Stalinie" wszystko idzie, o Gandhim dużo, o naszym s ł a b o r o z c h o d z i s i ę nawet to, co n e g a t y w n e. Nie interesują się wogóle tym dylematem. Za mało dla nich fascynujący, za domowo-polski, za parafjalny.

No, a jak jest w kraju? Łatwo to, łatwiej i szybciej da się wybadać i sprawdzić. Jedna książka Dmowskiego w sześć miesięcy trzy wydania, największy sukces księgarski sezonu. A literatura panegiryczna o J. Piłsudskim? Cała leży. Od Olechowskiego, Ulanowskiego, Jellenta, Staszewskiego i t. p. wszystko gotowe na makulaturę lub poszło w kosze. Nacisk administracyjny w niczem nie pomaga, tajemnicze wydawnictwo zbiorowe p. t. „Genjusz Niepodległości" (cena 35 zł.), gdzieś znikło. Jeszcze bardziej tajmnicza książeczka lorda d'Abernoona reklamuje się jak „mydło Szichta", no i z egzemplarzy niekupowanych możnaby piramidę wystawić. Co więcej, nawet zbiorowe wydanie dzieł własnych, pierwsze tomy kupują tylko te instytucje, które muszą, a prywatnych nabywców ani śladu.

Czego to dowodzi? Dowodzi tego, że inflacja propagandy szkodzi. Można wpompować w społeczeństwo, powiedzmy ściślej w biurokrację, administrację, wojskowość i w profesje zależne bezpośrednio od rządu „Jelity" pewne *quantum* adoracji, ale nie można *par force*, *per fas et per nefas* wpompowywać ciągle, gdyż organizm społeczny przeciążony temi, jeżeli już nie narkotykami, to w każdym razie niestrawnemi antiprawdami, zaczyna reagować negatywnie i pacjent jedzie do Rygi na sam widok „wzmacniającego środka".

Niemcy przeszły kolejno przez dwa kulty jedynego, przez kult Bismarcka, potem kult Wilhelma. Kult Bismarcka nie wykluczał czci dla innych zasłużonych mężów publicznych. Był zawsze naczelną postacią stary Kaiser Wilhelm, ale obok niego zawsze: *„und seine Paladine"* i bywało ich kilku. Dopiero kult ordynarnego i pustego wewnętrznie samochwała Wilhelma II specjalnie przeciw Niemcom rozdrażnił, rozjątrzył, rozjudził, sprowokował resztę ludzkości. Bezpieczniejszą i pewniejszą jest przyszłość tych narodów, które nie ograniczają się na monoteizmie i wierze w jedynego jedynaka, ale respektem i wdzięcznością otaczają i tych, co najzasłużeńsi. Nie sam Foch, ale i Joffre z Castelneau, i Petain, ale i Clemenceau, i Poincaré i jeszcze kilku... Może i Weygand?...—wrzaśnie na to któryś spąsowiały Eurazjata z plemienia Burdów czy Hylów. Tak! I Weygand...

Przeszarżowany kult Jedynego w najidealniejszych warunkach i przy najidealniejszym objekcie kultu musi prowokować bierny opór u „nienawróconych pogan". Na likwidację kompletną takiego kultu dawniej potrzeba było lat kilku, teraz wystarczy kilka miesięcy. Rok temu prezydent Hoover uchodził jeszcze za tak zwanego Opatrznościowego; dziś, jak pisze prasa amerykańska, jest jedną „z najniepopularniejszych postaci w Stanach". Wielcy tego świata obecnie za życia jeszcze bywają żywcem zabronzowywani i również za życia odbywa się proceder odbronzowywania. Na pociechę mają to tylko jedno, że najpotężniejsze postacie dziejowe ulegają obecnie rewizji historyczno-krytycznej i podczas gdy wybiela się i wyczyszcza, „rehabilituje" takie monstra historyczne jak Neron (pióra Anglika Artura Weigalla) jak Marat (pióra Francuza V. Merica), to znowu wypisuje się paszkwile na takie postaci, jak Waszyngton, jak Lincoln.

Nawet więc takie dotychczas mocno utrwalone, autorytatywne wartości i walory w ostatnich właśnie czasach uległy zakwestjonowaniu. Jakże się więc można dziwić i mieć do Polaków pretensje, że jeszcze nie wszyscy nawrócili się na „monoteizm" i nie odbywają nabożeństw majowych, skoro rozchodzi się o postać historyczną, której walory immamentne nieustalone są jeszcze nie tylko w ludzkości (jak Waszyngtona, Lincolna, Nerona, Marata), nie tylko w Europie (jak to stwierdza różnica poglądów np. Sforzy, Pinona, a d'Abernoona), ale także i w jednych i tych samych grupach politycznych w kraju, jak np. u konserwatystów i socjalistów.

To też więcej umiaru w kulcie, Panie Ministrze, napewno nie zaszkodzi tak szczerze przez pana czczonej, historycznej postaci. Będzie nawet sympatyczniejsze i skuteczniejsze.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Najlepszą obroną naszą na Pomorzu od zakusów niemieckich jest świadomość narodowa ludności. Duch patrjotyczny jest tam naszą twierdzą. Niemcy z tem stanowiskiem nacjonalistycznem Pomorzan się liczą.

Cóż ono przeszkadza p. Lamotowi i Góreckiemu, że łożą takie wielkie pieniądze (350.000!) na organy, zwalczające na Pomorzu obóz narodowy?

Pytanie to jest tak straszne, że Polak niema odwagi na nie odpowiedzieć.

*

Nauczyciele gimnazjalni wysilają się, aby przy każdej sposobności urzeczywistniać ideę „wychowania państwowego", polegającego na ustawicznem przypominaniu uczniom „nazwiska Wielkiego Budowniczego Państwa". W jednej ze szkół warszawskich, nauczyciel geografji skorzystał nawet z okazji wykładu na temat Oceanu Atlantyckiego, aby, mówiąc o wyspach Azorskich, wspomnieć nawiasowo: „Tutaj właśnie, latem roku 1929, spadł i połamał skrzydła przelatując do Ameryki „Marszałek Piłsudski"...

Nauczyciele geografji czy historji mają jeszcze zadanie łatwe i sposobności stosunkowo niemało. Ale co zrobi z obowiązkiem „wychowania państwowego" naprzykład nauczyciel fizyki? Kiedyż on będzie miał okazję wspomnieć uczniom o „ideologji państwowej"?... Chyba tylko wykładając o... próżni Torricellego...

*

Dzienniki donoszą, że słynna na pustyni Placu Teatralnego Oaza złożyła podanie do sądu o odroczenie wypłat.

Oaza wyschła! Od trzech lat była posucha, a nieugaszone jest pragnienie dromaderów sanacyjnych. Piły, piły, aż wszystko wypiły.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.